Ostrzeżenie! Czasopismo zawiera wulgarne słowa oraz nieprzyzwoite, a nawet antyrządowe i przeciwkościelne treści.

CENA 9,80 zł w tym 8% VAT ● NR 27 (1867) ● 3–9 lipca 2026

nr indeksu 367125 ISSN 0867-2237

Ilustr. KRZYSZTOF OLEJNIK

ISSN 0867-2237 INDEKS 367125
9 770867 223607 27

nie@redakcja.nie.com.pl www.tygodniknie.pl Tygodnik NIE YouTube Tygodnik NIE

eprasa.pl 471020cdc7

WOJNA DOMOWA

Anytypis opanowała niezdrowa ekscytacja, albowiem prokuratorzyca Szeroczyńska umorzyła sprawę dwóch niedoszłych wież prezesa Kaczyńskiego. Mecenas Giertych, który reprezentuje w tej sprawie pokrzywdzonego, ogłosił, że Szeroczyńska przejęła sprawę w wyniku „bezczelnej manipulacji" i jest twarzą „pisowskiego zabetonowania". W 2019 r. Szeroczyńska napisała w „GW" tekst o niezależności prokuratury utrzymany w tonie dość – powiedzmy – fundamentalistycznym („Prokuratorzy muszą być ludźmi z marmuru"; „Prokurator musi być czysty i twardy jak marmur"); umieściła w nim też totalnie niecenzuralne w pisizmie zdanie o „podstawowej uczciwości wobec sprawców przestępstw". Za ten tekst ziobrowa prokuratura urządziła jej postępowanie dyscyplinarne, ale Szeroczyńska wyraźnie nie potrafi chować urazy. A przynajmniej nie tak dobrze jak prof. Wrzosek, która wcześniej prowadziła tę sprawę.

Wydawnictwo o skromnej nazwie Biały Kruk ujawniło fragmenty swojego najnowszej rewelacji: wywiadu rzeki z prezydentem, zatytułowanego „Skąd się wziął Karol Nawrocki?" (376 stron w twardej oprawie, cena: 89 zł). Furorę zrobiła opowieść z Ząbkowic Śląskich (dawna nazwa: Frankenstein), gdzie Nawrocki przeżył moment z horroru: „Mówili, że wyglądało to jak fontanna, porównywali to do filmu »Egzorcysta« – kopałem nogami, rzucało mną, kompulsywnie wymiotowałem". A, i jeszcze głowa państwa wspomina: „Straciłem przytomność. (...) Obudziłem się po jakimś czasie. (...) Autokar, cały garnitur, wszystko – kompletnie zbryzgane moimi gwałtownymi wymiotami. Wszystko". Uczciwie mówiąc: nie musieliśmy tego wiedzieć.

Karol Nawrocki chyba doszedł do tego samego wniosku, albowiem postanowił odwrócić uwagę nieprzyjaznych mediów, wydając z siebie kuriozalny komunikat na Iksie: „Mam obowiązek narzucać wolę Narodu tym, którzy nie czują się wobec Polek i Polaków szczególnie zobowiązani". Rozbieranie tego komunikatu na części nie ma sensu, bo jego zadaniem wyraźnie było zasłonienie historii o rzygliwej fontannie – ale trzeba odnotować, że to się nie udało. Jeśli chodzi o prezydenta, antypis ma podzielną uwagę. I tak Karol Nawrocki został zarzyganym narzucaczem woli narodu.

Jarosław Kaczyński, być może też zniesmaczony opowieścią o haftującej głowie państwa, przypuścił atak na innym froncie. Prezes chce powołać specjalną komisję, nie sejmową i nie śledczą, tylko zupełnie apolityczną, choć wybieraną przez sejm, która zajmie się szpitalami w Warszawie (czyli podlegającymi Trzaskowskiemu) i na Mazowszu (Struzikowi). Po czym – jak to ostatnio bywa – Jarosław popłynął: „jeszcze w okresie komunistycznym" były skargi na służbę zdrowia, ale „chodziło, można powiedzieć najkrócej, o taki radykalny brak kultury lekarzy, szczególnie tego niższego personelu, wiadomo: to była Polska powojenna, ogromne zmiany społeczne i źle przeprowadzany, choć konieczny awans społeczny, który nie łączył się z awansem kulturowym et cetera". Żebyśmy dobrze zrozumieli: za komuny lekarze byli chamscy, a pielęgniarki szczególnie, bo byli ze wsi i słoma im z butów wystawała, ale generalnie dobrze, że się kształcili? To lider opozycji chciał powiedzieć?

Pokłócili się chłopcy o żołnierzyki. Mariuszek powiedział, że Władzio ma za mało, a do tego niepotrzebnie kupuje takie samoloty, co w powietrzu sikają benzyną do innych, bo Ameryka ma dużo, a Władzio mu na to, że Mariuszek „nie był tak ambitny jak my, bo on mówił o armii 300-tysięcznej, a my mówimy o 500-tysięcznej"… A my mówimy, dlaczego tylko 500 tysięcy, może milion, a może dwa miliony, w Polsce jest 14 milionów dorosłych mężczyzn, a w zasadzie dlaczego tylko dorosłych i dlaczego tylko mężczyzn? Do tego Władzio jeszcze się pochwalił ambitnym planem zbudowania bazy dla Amerykanów: „to jest ogromny wydatek, kilkanaście miliardów, ale lepszym słowem jest »inwestycja«, ona się zwróci w podatkach pośrednich"… Tak dla porządku: bazy USA w krajach okupowanych, tfu, zaprzyjaźnionych nie płacą podatków pośrednich (VAT i akcyza) ani bezpośrednich – od nieruchomości i od dochodów personelu. Wicepremier wspomniał też naturalnie o „odstraszaniu" – i kontrolnie nikt nie pyta, ile warto wydać na odstraszanie napastnika, który nie ma zamiaru napadać.

À propos: premier Tusk pochwalił się prezentem, jaki dostał od premiera Szwecji w zamian za zamówienie na trzy szwedzkie okręty podwodne, w sumie za 20 dużych baniek: „Dostałem od Ulfa dla moich wnuków i wnuczek, dla każdej i każdego z nich, po książce szwedzkiej w języku polskim, dla najmłodszej »Pippi Langstrumpf«, po naszemu »Fizia Pończoszanka«. To też podkreśla charakter naszej współpracy"… Owszem: Szwedzi mają nas za dzieci.

AWŁ

Z URNY BLAGIERA URBANA

BLOG WSZYSTKICH ŚWIĘTYCH

Czerwiec 2014 r.

Świętego Prospera

Wraz z ujawnieniem podsłuchów właściciel najlepszej restauracji w Warszawie Dyspensy – pan Tomasz – uruchomił dobudowany salon dla VIP-ów. W kolejce do rezerwacji ustawiły się dziesiątki samobójców, którzy mają dość życia politycznego lub egzystowania w biznesie. Ja zawsze siadałem i siadam wszędzie na sali ogólnej, gdyż niestety i tak nikt mnie nie chce podsłuchiwać. Tak samo nieciekawy byłem, będąc w rządzie, chociaż parę chujów zawsze dało by się z moich ust upolować.

Świętego Anzelma

Piszę powieść o tym, jak Chrystus, pełen hucpy Żydek, okradł apostołów i uciekł z ich forsą na pustynię. Gdy go zaś złapano, zaczął opowiadać o sobie nie wiadomo co. Afera z „Golgota picnic" potwierdza, że tylko bluźniąc i wywołując wściekłość katoli, zrobić można karierę artystyczną i pozyskać publiczność dla sztuki wyższej. Kler, podlizujący się mu prezydenci miast, kościelne bojówki szturmowe wyjące na ulicach – wszystko to pracuje przeciw religii i jej funkcjonariuszom. Kościół błaźni się bez podsłuchów. Przeciwnie – sam nagłaśnia swe ogłupienie.

Świętego Serca

W „Polityce" ukazał się artykuł mówiący o tym, że PRL była mocarstwem kulturalnym, a „wolna" Polska jest karłem. Za realnego socjalizmu najbogatszymi Polakami byli Wajda, Lem i Penderecki. Elitarny kompozytor symfonii górował nie tylko nad biznesem, ale i nad piosenkarkami, gwiazdami filmów i kabareciarzami. Coś to mówi o strukturze dochodów i zaszczytów. Nawet więcej niż gadanina o przywilejach nomenklatury. W latach 90. byłem jedynym niebiznesmenem na liście stu najbogatszych Polaków tygodnika „Wprost". W obecnym stuleciu na tej liście nie ma ani jednego takiego wyjątku. W III RP Wajda z Penderecki też nie chodzą głodni, ale liczy się stopień w hierarchii. Bez samolotu z pilotami jest się jak bez spodni.

Świętego Ireneusza

Jedyny serial, jaki oglądałem, i to nałogowo, to „House of cards". A teraz nadeszła straszna wiadomość. Trzecią serię, w której Underwood nareszcie jest prezydentem, będzie reżyserować Agnieszka Holland. Polański chciał w Polsce robić film o Dreyfusie, ale nasze państwo nie chce dać gwarancji, że go nie wyda Amerykanom w zamian za stu żołnierzy i cztery rakiety. Może i lepiej. Gdzie by tu znalazł chudego Żyda do roli głównej? Niezła byłaby Braunek, ale umarła.

Świętej Piety

Daniszewska sprowadziła sobie z krajów wyżej cywilizowanych maszynę do masowania wszystkiego oprócz głowy. Ma ona formę fotela naszpikowanego elektroniką. Niestety, używać go nie może, gdyż pudel Azor odpoczywa na tej maszynie po trudach złożenia kupy. Próba usunięcia go siłą o tyle się nie powiodła, że stanął i patrzył na kobietę z wyrzutem wykluczającym jej nerwowe rozluźnienie.

Odwiedzam cudowną kozę. Darzymy się uczuciem, moje wizyty mają przebieg erotyczny. Z tej przyczyny z jadłospisu naszego domu wykreślone zostało kozie mięso. Co żreć, panie prezydencie?

Świętego Martiala

Nie myślę o śmierci, bo co za przyjemność, ale mimo woli przeprowadzam kalkulacje finalizujące życie: czy jeszcze warto kupować nowe ubranie, samochód, zęby, obraz… Czy już nie szkoda czasu na jakąś książkę? Czy warto odwiedzić nowy kraj, który w pamięci i tak zleje się z podobnymi? Czy warto jeszcze gapić się z auta, gdy idzie śliczna dziewczyna, skoro nawet nie sposób masturbować się pod jej obraz? Czy warto się odchudzić, skoro moje wymiary to już problem wytwórcy trumien? Czy ograniczać palenie, żeby konać nienapalonym? Czy warto oszczędzać, skoro to powiększy masę spadkową, cholera? Jak nie oszczędzać, skoro niczego więcej, co robi wydatek jakiś, mi nie potrzeba? Człowiek nie myśli o śmierci, lecz ją pierdoli, ale zawsze bliskość tego, co pierdoli, poniekąd zatruwa życie. Przepraszam za język rządowy.

Ilust. KRZYSZTOF OLEJNIK

Świętego Thierry

Gdy chodzę, bolą mnie nogi, więc nie chodzę. Jak siedzę, to nie bolą. Lekarze każą mi chodzić, to z czasem nie będzie bolało. Mam bólem zwalczać brak bólu? Lecznictwo to działalność głupców na rzecz głupców płacących za cierpienia. Wyjątkiem chirurgia. Gdy nogi są zbędne, warto je uciąć. W tym jest prosta logika.

Świętego Martineu

Katole twierdzą, że wyskrobanie płodu to traumatyczne przeżycie dla kobiety. Kilka moich partnerek wyskrobywało zarodki, w które miałem wkład. Przejęte tym były przed, nigdy po. Natomiast urodzenie dziecka i wszystko, co potem, zapewnia rozmaite przeżycia. Moja matka, zanim mnie urodziła, skrobała się dwukrotnie. Zawsze żaliła się na to, co urodziła, nigdy na to, co wyskrobała. Ja też nigdy w życiu nie pomyślałem o niedoszłym rodzeństwie. Istnieje nacisk na przecenianie rodzicielstwa. Im więcej nakłada się tu obowiązków, tym bardziej jest ono dolegliwe. Nie zauważa się natomiast, aby życie tych byłych dzieci, które szczególnie męczyły rodziców, toczyło się pomyślniej niż innych. Oczywiście do pewnych granic. Dzieci rżnięte przez tatusiów, uwiązywane do kaloryfera lub bite mogą wyrastać na ludzi mniej szczęśliwych. Niezbędne dla dzieci są też tenis, gra na fortepianie, nauka języków, podróże do ciepłych krajów, stroje kopiujące ubrania innych dzieci, komórki, komputery, lody i pizza. Uczucia wobec bachorów są jednak przeceniane. Niegdyś mówienie w towarzystwie o dzieciach świadczyło o plebejskości, było nietaktem. Dziś takie niemówienie oznacza milczenie. W jego trakcie pokazuje się obrazki swoich dzieci na ekranikach komórek. Któraż z celebrytek pierwsza zacznie przynosić na iwenty i demonstrować kupy swojego narodzonego umieszczane w przezroczystej szkatułce?

Świętego Tomasza

Watykan stosuje komunistyczne praktyki. Wpierw delikwenta należało wyrzucić z partii, a potem dopiero można było stawiać przed sądem karnym. Abepe Wesołowskiemu, nuncjuszowi-pedofilowi, odebrano w Watykanie legitymację kapłańską, aby mógł zostać sądownie oskarżonym. Gówno by nas to obchodziło, gdyby nie sygnał za tym się kryjący: księży nie wolno oskarżać i skazywać. Jest to sprzeczne z którymkolwiek prawem państwowym i zasadą równości wobec niego.

Świętego Florenta

Pytają mnie teraz, czy członkowie rządu PRL także klęli. Premier Jaruzelski nigdy. Gdy przeciwnik wzbudzał emocje, nazywał go skurwysynem, ale to termin salonowy. Nie klęli profesorowie: Jabłoński, Krasiński, Fisiak, Krawczuk. Widocznie przed habilitacją były antychamskie treningi. Inni ministrowie rzucali czy to pizdami, czy chujami albo pierdoleniem, ale tylko pijąc w bardzo wąskim gronie przyjaciół i żon nawykłych do wszystkiego. W szerszym gronie ministrowie objawiali kompleksy parweniuszy z awansu, udawali więc dżentelmenów. Obnosili się ze swoją godnością. Rakowski czy Wilczek naprawdę byli dżentelmenami, nie musieli ich udawać, klęli więc wyłącznie. Dla mnie słowa p…, ch… oraz k… są mową ojczystą. Służą mi jednak tylko do ekspresji. Objaśniając zjawiska i ludzi, dobieram bardziej precyzyjne określenia, gdyż np. pizdą jest każda jej posiadaczka i ten epitet niczego nie wyjaśnia. Weźmy Joannę Szczepkowską…

W 1955 r. był w Warszawie światowy kongres studentów i przyjechał m.in. przeciwkomunistyczny Związek Studentów Anglii, Walii i Irlandii Północnej. Przewodniczący Rady Państwa w dzisiejszym pałacu Komorowskich (tym ukrzyżowanym) urządził przyjęcie dla delegatów na kongres. Głową państwa był Aleksander Zawadzki, człowieczyna niski, chudy i schorowany. Jako gospodarz obchodził stoliki. Angole, z którymi siedziałem, siłą posadzili go na krześle, mocno walili po plecach i kazali pić wódkę. Pospieszyłem Zawadzkiemu z odsieczą. Angielski znam jednak na tyle, na ile minister Sikorski zna mandaryński. W tłumaczeniu na polski moje angielskie wystąpienie brzmiało tak: „Odpierdolcie się od tego. Wy macie królową, a my takie coś". Angole zerwali się, a ich dziewczyna wykonała, kurwa, ukłon dworski i towarzysz Zawadzki z troską wyciągnął ręce, myśląc, że ona się słania. ❑

PRASA ŚNIADANIOWA

- **Karol Nawrocki** powiedział, że podczas kampanii prezydenckiej gwałtownie wymiotował w autobusie. Karol, Ty żeś w kampanii do Rygi pojechał.
- **W Rzymie** odbyło się czuwanie modlitewne przed wręczeniem paliuszy. Czy paliusze były z solą, czy z makiem, nie wiadomo.
- W najgorętszy weekend czerwca **Donald Tusk** opublikował zdjęcia po bieganiu. Akurat w tej chwili nie polecamy premierowi wizyty na SOR-ze.
- **Rząd** szykuje się do podniesienia podatku za małpki i energetyki. I jak ten naród ma na nich głosować?
- **W Warszawie** obrzucono kamieniami budynek skarbówki. Eh, ci wielbiciele owoców morza…
- **Jarosław Kaczyński** zapowiedział zwrócenie Orderu Księcia Jarosława Mądrego drugiej klasy. Czy będzie zwracał jak Nawrocki w autobusie?

MARTA M.

LISTONOSZ DONIÓSŁ

Reklamą po trupach

Chciałem znaleźć kilka wiadomości na temat trzęsienia ziemi w Wenezueli – wyjątkowo tragicznego w skutkach: na dzień dzisiejszy wydobyto 1450 zabitych i kilka tysięcy rannych, ilość zaginionych liczy się w dziesiątkach tysięcy. Na zdjęciach i filmach morze gruzu, zrozpaczeni ludzie – żadnemu z mediów nie przeszkadza to topić tych informacji w śmietnisku radosnych i głupawych reklam, wymuszać na oglądającym deklaracje gotowości do bycia zasypywanym kolejnymi – gdzie tylko mogę zaznaczam „odrzuć wszystko". Najchętniej odrzuciłbym cały ten cyniczny sposób „informowania" o takiej tragedii (...). Obrzydliwy priorytet zysku na gruzach i trupach.

Marcin Saar, Gdańsk

Rys. TOMASZ WIATER

Ideał domowego ogniska

Krzysztof Stanowski publicznie robi sobie śmieszki z przemocy domowej. Uważa, że (...) małżeństwa się rozpadają, bo dziś już babie „nie można przywalić". W sumie to do końca nie wiadomo, czy wygłaszając te światłe opinie (...), żartował, czy wygłaszał swoje credo, ubierając je tylko w formę żartu, bo wiadomo, że poważnie wypowiedziane by nie przeszło. Ja stawiam na to drugie. Sorry, ale Stanowski nie wygląda mi na faceta, który cokolwiek rozumie z otaczającej go rzeczywistości.

Gdybym była na miejscu żony Stanowskiego, to bez względu, czy to, co powiedział, było żartem, czy nie, natychmiast wyprowadziłabym się z domu i zażądała rozwodu, a przynajmniej wprowadziłabym szlaban na ciurlanie do czasu publicznego przyznania się do winy i odszczekania tego, co ostatnio nagadał.

I mam taką refleksję, że odmowa seksu takim troglodytom to jest sposób, by zmusić ich do myślenia. Koncepcja, że „przywalenie babie" jako sposób na ideał domowego ogniska jest czymś normalnym i zgodnym z porządkiem natury, mogła się zrodzić chyba tylko w umyśle kogoś, kto mentalnie stoi na poziomie lekko niedorozwiniętej krewetki.

Joanna K., Warszawa

eprasa.pl 471020cdc7

Byliśmy wśród budowniczych Ukrainy

Gdańska giełda ruin

Wybraliśmy się do Gdańska, by sprawdzić, czy dąb imienia Lecha Wałęsy nad Motławą zaczął już owocować. Drzewko – w przeciwieństwie do swojego patrona – zachowuje na razie wstydliwą wstrzemięźliwość i żadnych żołędzi Wałęsy światu nie objawiło.

Przy okazji, chcąc nie chcąc, wdepnęliśmy w ten gdański spęd pod szyldem Konferencji na rzecz Odbudowy Ukrainy 2026. W halach AMBEREXPO przedstawiciele stu państw i narodów zjednoczyli się w radosnym urojeniu, że warto inwestować w państwo, w które walą rosyjskie rakiety. Pomysł wydaje się równie błyskotliwy co handel luksusowymi apartamentami na czwartym piętrze właśnie płonącej kamienicy, przy jednoczesnym zapewnianiu frajerów, że straż pożarna dysponuje obiecującą strategią gaszenia, którą wdroży, gdy tylko pogorzelisko nieco ostygnie. To nie dyplomacja, to zbiorowa paranoja.

Miliardy z mikrofonu

Z tłumu premierów, których zapowiadano, liczyło się dwóch: Donald Tusk, który jako gospodarz musiał tam być, by pilnować żyrandoli, oraz Julia Swyrydenko. Z pięciu tysięcy zapowiadanych gości, po odliczeniu ochrony, kelnerów i osób, które po prostu szukały darmowego cateringu, została może połowa. Zanim jednak ktokolwiek zdążył odchrząknąć do mikrofonu, pani Swyrydenko ogłosiła światu, że podpisanych zostanie 160 umów na, bagatela, 10 mld euro. Polska Agencja Prasowa natychmiast odtrąbiła sukces, nie zawracając sobie głowy takimi drobiazgami jak treść tych dokumentów czy realne istnienie owych pieniędzy. Ja tych umów nie widziałem, nikt ich nie widział, a lista prywatnych inwestorów spoza sektora bankowego – czyli tych, którzy ryzykują własnym portfelem, a nie cudzymi podatkami – pozostaje równie tajna co recepta na nieśmiertelność. Całość uświetniła oczywiście Ursula von der Leyen, która zjawia się wszędzie tam, gdzie potrzeba odrobiny unijnego blichtru.

Jak się robiło interesy na Ukrainie

Ale zejdźmy na ziemię, czyli w błoto roku 2014. Wtedy to Aleksander Kwaśniewski, cierpiąc na deficyt zajęć godnych byłego prezydenta, biegał po Euromajdanie, mamiąc Ukraińców wizją Unii Europejskiej, która rzekomo tylko czekała, by ich przytulić do piersi. Aby te mrzonki ubrać w jakieś garnitury, powołano – a w zasadzie reanimowano – Polsko-Ukraińską Izbę Gospodarczą. Na jej czele postawiono Jacka Piechotę, sprawnego aparatczyka z SLD, który w Szczecinie uchodził za człowieka sukcesu, a w Warszawie za zaufaną rękę Aleksandra.

Pieniądze na tę inicjatywę płynęły szerokim strumieniem, co pozwoliło mi obserwować ten cyrk z dość bliskiej odległości. Oficjalnie izba zajmowała się szkoleniami, wskazywaniem źródeł finansowania i budowaniem mostów. W praktyce jednak jej głównym zajęciem było opłacanie kancelarii prawnych w Przemyślu, które stały się ścianą płaczu dla polskich biznesmenów. Ci naiwniacy, zwietrzywszy na Wschodzie interes życia, lądowali tam z hukiem, którego nie powstydziłaby się spadająca cegła.

Schemat „współpracy" był zawsze ten sam. Polak dawał kapitał, pomysł, technologię i świętą wiarę w sukces. Ukraiński partner wnosił do spółki „znajomość lokalnej specyfiki", co w tamtejszym narzeczu oznaczało wiedzę, komu dać w łapę. Całość pieczętowano „statutem spółki" – dokumentem spisanym cyrylicą, który dla powagi przewiązywano sznurkiem do snopowiązałki. I to nie jest metafora, to był szczyt tamtejszej estetyki prawniczej.

Przez pierwsze dwa lata, gdy fabryka czy magazyn dopiero powstawały i nie przynosiły zysku, panowała sielanka. Polsko-ukraińska spółka była modelowa. Problemy zaczynały się wraz z pojawieniem się pierwszych pieniędzy. Wtedy polski udziałowiec, przyjeżdżając do „swojego" zakładu, odkrywał, że klucze nie pasują do zamków, ochrona go nie zna, a dawny przyjaciel-wspólnik patrzy na niego jak na natrętną muchę. Co więcej, w owym nieszczęsnym „statucie" po nazwisku Polaka nie zostawał nawet kleks. To się nazywa wrogie przejęcie, choć w rzeczywistości była to zwykła ordynarna kradzież.

W jednym bucie do Europy

Jeden z przemyskich prawników, który od dekady grzebał w tych trupach, podsumował to krótko: „Jeszcze nie widziałem Polaka, który by na tym zarobił, sukcesem jest, jeśli wracają własnym samochodem i z kompletem zębów". Niektórzy mieli mniej szczęścia – jak pewien przedsiębiorca z Włodawy, który granicę w Medyce przekraczał pieszo, w jednym bucie i z miną człowieka, który właśnie zrozumiał „specyfikę wschodniego rynku". I to jest to „drugie dno", o którym w Gdańsku słychać było tylko w kuluarach.

Oczywiście misja Kwaśniewskiego jako wielkiego mentora, który miał wprowadzić Ukrainę na europejskie salony, zakończyła się fiaskiem – choć z powodów, o których eksprezydent woli nie wspominać zbyt głośno. Swego czasu poleciał on do Moskwy na majową paradę zwycięstwa, by z właściwym sobie wdziękiem tłumaczyć Putinowi dziejową konieczność rozszerzenia Unii o Kijów. Nieoficjalna wieść z tego spotkania głosi, że Władimir Władimirowicz, który rzadko bawi się w dyplomatyczne ceregiele, gdy nie musi, poradził mu króko: „*Ukraina nikogda nie wstupit w Jewropiejskij Sojuz, zabud'tie ob etom*".

Ilustr. KRZYSZTOF OLEJNIK

By podkreślić wagę słów i miejsce Polski w szeregu, Putin usadził polskiego prezydenta na trybunie honorowej tak precyzyjnie, by żadna kamera nie mogła go uchwycić. Kwaśniewski stał tam jako niewidzialny świadek potęgi, której nie chciał zrozumieć. 10 lat później ostatecznie zrezygnował. W Gdańsku, podczas tego całego Ukraine Recovery Conference, bez słów umówiono się, że o tamtej moskiewskiej przestrodze nikt nie słyszał.

Warto teraz dorzucić do tego ukraińskiego barszczu jeszcze jedną liczbę. Otóż według danych wspomnianej Polsko-Ukraińskiej Izby Gospodarczej przez ponad 20 lat – aż do 2022 r. – polskie inwestycje na Ukrainie uciułały łącznie około 1 mld euro. Jeden miliard przez dwie dekady mozolnego budowania, kradzieży firm i ucieczek w jednym bucie. Tymczasem w Gdańsku, po dwóch dniach mielenia ozorami i wylewania potoków szampana, ogłoszono nagle 10 mld. W dwa dni obiecano dziesięć razy więcej, niż udało się realnie wpompować przez 20 lat względnego pokoju.

Nie o Ukrainę tu chodzi

Czyżby zatem do Gdańska zjechali się sami głupcy? Skądże znowu! Prywatny biznes, ten, który ryzykuje własnym groszem, reprezentowany był śladowo, co jest jedynym logicznym odruchem organizmu przy zdrowych zmysłach. Za to sala pękała w szwach od urzędników, bankierów, finansowych hien różnej maści, w tym arabskich szejków i speców od funduszy hedgingowych. To towarzystwo z budową autostrad czy stawianiem fabryk ma niewiele wspólnego. Po co tam przyjechali, poza oczywistą chęcią wypalenia cygara, wychylenia darmowego szampana i zerżnięcia ukraińskiej prostytutki? Chodziło o pieniądze. Ale nie te wypracowane, tylko te „niczyje", czyli nasze – podatników. Bruksela obiecała w ramach Ukraine Facility co najmniej 50 mld euro do 2027 r.

Wszyscy wiedzą, że te 50 mld to zaledwie kropla w morzu, skoro zniszczenia na koniec 2025 r. szacuje się na blisko 200 mld dol., a straty społeczno-gospodarcze na ponad 660 mld. Potrzeby odbudowy to studnia bez dna, wyceniana na prawie 600 mld.

I 600 mld – to jest właśnie słowo klucz. Te wszystkie „listy intencyjne" i „projekty" to nic innego jak rezerwacja miejsc przy korycie, zanim jeszcze obsługa wniosła wazę z zupą. Zachodnie koncerny i nasi urzędnicy – którzy ojczyznę kochają najbardziej, gdy ta płaci im w twardej walucie – chcą po prostu zaklepać sobie prawo do dojenia unijnych funduszy pod pretekstem stawiania betoniarki na ukraińskim czarnoziemie.

Powiedzmy bez znieczulenia: Gdańsk to preludium do korupcji na skalę międzykontynentalną. Tam, gdzie w grę wchodzą miliardy z publicznej kasy, a wszystko to dzieje się w gęstej mgle wojennej i przy specyficznej ukraińskiej kulturze prawnej, tam urzędnicy obu stron dostają radosnego ślinotoku.

Mechanizm jest prosty jak konstrukcja cepa: 85 proc. dla nas, 15 proc. dla was za przymknięcie oka i sfałszowanie papierów. A jeśli fabryka, droga czy most nigdy nie powstaną? Żaden problem. Zawsze można powiedzieć, że stały, ale właśnie zostały „zdematerializowane" przez rosyjską bombę.

To będzie interes życia dla rzeszy cwaniaków, dla których – paradoksalnie – najlepszym finałem byłaby ostateczna klęska Ukrainy i jej aneksja przez Rosję. Nic tak skutecznie nie utylizuje dowodów kradzieży i nie zaciera śladów po nieistniejących inwestycjach jak rosyjski walec. Wtedy nikt już o nic nie zapyta, audytorzy nie dojadą, a pieniądze zostaną tam, gdzie ich miejsce. To nie jest odbudowa, to jest wielkie sprzątanie magazynów z cudzą gotówką.

Zastanawiam się tylko, czy w ogóle wypada nam się tym martwić. Przyglądając się gębom ukraińskich notabli, nie dostrzegłem na nich cienia troski o losy ojczyzny, za to mnóstwo szczerego, tłustego zadowolenia. Wyglądali jak ludzie, którzy właśnie zrozumieli, że wojna to nie tylko krew i błoto, ale przede wszystkim największa w dziejach okazja do przewietrzenia cudzych portfeli. Promienieli satysfakcją godną zwycięzców loterii, w której sami losowali numery.

No cóż, chcącemu nie dzieje się krzywda. Jeśli obie strony tego szwindlu są równie zachwycone perspektywą wspólnego rozkradania unijnej jałmużny, to nam pozostaje jedynie z uznaniem pokiwać głową nad ich sprawnością.

ROBERT JARUGA

Lojalki nasze i wasze

Wołyńskie sygnalizowanie cnoty

Dawno, dawno temu, na początku lat 90., polska debata publiczna żyła sztuką. A konkretnie kolekcją Porczyńskich, ofiarowaną przez właścicieli Kościołowi i ometkowaną imieniem JP2. Podział na patriotów i niepatriotów – zauważyła wówczas posłanka Hennelowa – zaczął przebiegać wzdłuż linii opinii o kolekcji: patrioci uważali, że składa się ona z samych oryginałów (nie składała się), zaś zaprzańcy – że to bezwartościowa kupa kopii.

Minęło 35 lat, ale sposób definiowania świata nam się nie zmienił. Wyznawcy obu stron nadal poddawani są próbie wiary, w której absolutnie bez znaczenia jest istota problemu, oficjalnie stanowiącego oś danego sporu.

Dotychczas byliśmy przyzwyczajeni do tego, że polski dyskurs ukraiński nie ma nic wspólnego z Ukrainą, albowiem chodzi o Rosję. Teraz poszliśmy krok dalej: chodzi o Nawrockiego. A tak naprawdę o Kaczyńskiego, albowiem Tuskowi zawsze chodzi o Kaczyńskiego i odwrotnie.

Awantura o odebranie Zełenskiemu Orła Białego w ogóle nie dotyczy Orła Białego ani Zełenskiego, ani jego pokłonów pod adresem banderowców, że już nie wspomnę o banderowskich ofiarach, które w tej awanturze stały się skrajnie instrumentalnie traktowanym rekwizytem.

Chodziło o to – wybaczcie wygłaszanie oczywistości, ale inni jakoś milczą na ten temat – że

Nawrocki i PiS postanowili złapać falę narastającego w Polsce antyukrainizmu, widocznego w sondażach i na ulicach. Wobec czego Tusk i jego drużyna uznali, że wszelka krytyka Ukrainy i jej prezydenta jest przejawem pisizmu

– toteż antypisiści muszą być bezkrytyczni, a najlepiej bezmyślni w swoim proukraińskim entuzjazmie. Kłopot polega wszakże na tym, że obie strony interesuje wyłącznie wewnętrzna rozgrywka i nie ma w tym cienia myśli strategicznej, żeby nie powiedzieć: geopolitycznej.

Prezydent Nawrocki zorganizował namaszczone przedstawienie wokół odbierania orderu Zełenskiemu – mimo iż wiedział przecież, że sankcja jest zgoła niedotkliwa, albowiem Zełenski ma ten order głęboko w dupie, razem z państwem, które mu go nadało. Co nie podbudowało w żaden sposób naszej dumy narodowej, nieco nadszarpniętej pokorą, z jaką przyjmujemy okazywane nam przez Ukraińców lekceważenie – za to znakomicie podbudowało Grzegorza Brauna.

Braun błyskawicznie ogłosił „piątkę dla Ukrainy": natychmiastowe zamknięcie lotniska w Jasionce, wstrzymanie wszelkiej pomocy wojskowej, karanie Polaków za służbę w ukraińskiej armii, zmuszenie wszystkich Ukraińców w Polsce do podpisania „lojalki antybanderowskiej" (określenie Brauna, nie moje), odebranie Ukraińcom polskiego obywatelstwa i prawa pobytu. Osobiście podejrzewam, że Braun nieco przegrzał – koncept „lojalki" może się nie spodobać właśnie tym najdumniejszym Polakom – ale generalnie dostał okazję do pokazania, że w odróżnieniu od boksera Nawrockiego ma jaja. Brawo Batyr.

Z drugiej strony – rozsądny zazwyczaj red. Stankiewicz z Onetu prezentuje (bezkrytycznie) myślenie „współpracowników Tuska": że Zełenski odesłał order, nie czekając na konstrasygnatę szefa rządu, gdyż „chodziło mu o to, żeby premier nie musiał zatwierdzać decyzji Nawrockiego o odebraniu orderu", bo „to wciągnęłoby Tuska w polityczną wojnę i dodatkowo zaostrzyłoby relacje polsko-ukraińskie"… Serio? I z tej troski o dobre stosunki z Polską prezydent Ukrainy, zamiast przyjechać od Gdańska na konferencję, której był współgospodarzem, ogłosił, iż „nikt i nigdy nie będzie nam mówił, jakich bohaterów szanować" – co uzupełnił zapowiedzią budowy „ukraińskiego Panteonu Narodowego", gdzie niechybnie znajdą się wszystkie gwiazdy rzezi wołyńskiej?

Zdesperowana strona antypisowska ima się wielu podobnych chwytów. W „Rzeczpospolitej" Jarosław Kuisz tłumaczy, że musimy zrozumieć Zełenskiego, bo wygrywa z Rosją (!) i „skoro Kijów nie chce być podległy Putinowi, tym bardziej nie chce być »junior partnerem« Polski". Kazimierz Groblewski, z innej beczki, apeluje, żeby „nie dać się podpuścić prezydentowi Ukrainy" i odpuścić Wołyń. W „GW" Michał Bilewicz straszy, że jak za dużo będziemy mówić o Wołyniu, to zamiast „szczęśliwej, zintegrowanej mniejszości narodowej", będziemy mieć „getta radykałów, płonące samochody i przemoc na ulicach"…

Rozpaczliwość tej dyskusji to owoc konceptu, że „Ukraina walczy za nas" – a zatem nie oni nam, tylko my im jesteśmy winni wdzięczność i wszelkie ustępstwa. Ale do zmiany tego konceptu – i przyznania, że nikt nie wierzy, iż Rosja zaatakuje NATO – wyraźnie nie jesteśmy gotowi. Co wtedy z naszą piękną półmilionową armią? Z 5 proc. PKB, z których tak jesteśmy dumni? Z wielkim sukcesem pożyczki na 45 lat? Jak krew w piach Wołynia.

AGNIESZKA WOŁK-ŁANIEWSKA

eprasa.pl 471020cdc7

Ilustr. KRZYSZTOF OLEJNIK

Strefa interesów

USA kontra Izrael. Kto kogo weźmie za mordę?

W połowie czerwca USA i Iran podpisały memorandum przewidujące zawieszenie broni, otwarcie cieśniny Ormuz oraz zniesienie amerykańskiej blokady morskiej. Oba kraje zobowiązały się również do prowadzenia negocjacji, które mają doprowadzić do ostatecznego zakończenia konfliktu. Izrael jak na komendę storpedował Liban i samo porozumienie. Żadna ze stron nie zamierza odpuścić. Czy Liban podzieli los Gazy?

Liban sporu

17 czerwca Donald Trump i prezydent Iranu Masud Pezeszkian podpisali wstępne memorandum o zawieszeniu broni i odblokowaniu strategicznej cieśniny Ormuz. Binjamin Netanjahu uczcił historyczną chwilę nalotem na Liban z uwagi na urazę, że Izrael nie był stroną porozumienia. Teheran ponownie zamknął cieśninę. W komunikacie wyjaśniono, że decyzję podjęto „w świetle złej wiary Stanów Zjednoczonych i ich rażącego naruszenia pierwszego punktu memorandum kończącego wojnę, a także w odpowiedzi na nieustanne i ciągłe łamanie zawieszenia broni przez reżim syjonistyczny w południowym Libanie”. Chwilę wcześniej izraelski minister bezpieczeństwa narodowego Itamar Ben Gwir ogłosił, że cały Liban powinien spłonąć. Izraelska eskalacja wywołała ferment w pierwszym etapie irańsko-amerykańskich negocjacji pokojowych w szwajcarskim kurorcie Bürgenstock. Mimo to w poniedziałek 22 czerwca mediatorzy z Kataru i Pakistanu przekazali, że rozmowy przebiegły w konstruktywnej atmosferze, a w ich trakcie osiągnięto „zachęcający postęp”.

Netanjahu wciąż kategorycznie odmawia wycofania Sił Obronnych Izraela (IDF) z południa Libanu. Trudno się dziwić. Wojna to złota karta Bibiego przed październikowymi wyborami w Izraelu. Przegrana oznacza dla premiera proces o korupcję i debatę na temat jego odpowiedzialności za błędy wywiadowcze, które zaowocowały terrorystycznym piekłem z ramienia Hamasu w 2023 r.

„Netanjahu nie dowiózł tematu, więc wszystko jest oceniane przez pryzmat porażki. (…) To jest to, co dostajesz, gdy wkładasz całą swoją politykę zagraniczną do koszyka Trumpa. Trump był postrzegany jako zbawca Izraela, a teraz Izraelczycy czują, że wrzucił nas pod autobus o napędzie atomowym” – skomentował sprawę w „New York Times” Mitchell Barak, izraelsko-amerykański analityk i były współpracownik Netanjahu. Oliwy do ognia dolał także polityk opozycji Jair Golan: „Netanjahu skłamał. Obiecał historyczne zwycięstwo i bezpieczeństwo na pokolenia, w praktyce dostaliśmy jedną z najpoważniejszych porażek strategicznych, jakie Izrael kiedykolwiek zaliczył”.

Konflikt małżeński

Nie ulega wątpliwości, że mięta między Trumpem a Bibim nieco zwietrzała. Na początku czerwca w wywiadzie opublikowanym przez „New York Post” Trump potwierdził doniesienia, że skonfrontował się z Netanjahu w sprawie walk Izraela z Hezbollahem i gróźb ataku na stolicę Libanu, Bejrut. Podczas telefonicznej rozmowy amerykański prezydent, rzucając kurwami, miał wyjaśnić premierowi, że ratuje mu dupę przed więzieniem. Podkreślił również, że wszyscy nienawidzą Izraela. Podczas czerwcowego szczytu G7 we Francji amerykański herszt rzucił w eter, że Izrael zbyt długo walczy z Hezbollahem, a jego armia nie musi wyburzać kamienicy za każdym razem, gdy kogoś szuka, bo oprócz bojowników są tam jeszcze cywile. W podobnym tonie w ostatnich tygodniach spuszczał po brzytwie izraelskich przyjaciół wiceprezydent J.D. Vance. „Gdybym był w izraelskim gabinecie, nie atakowałbym jedynego potężnego sojusznika, jakiego mam gdziekolwiek na całym świecie” – powiedział podczas jednej z konferencji prasowych w Białym Domu po tym, jak Izrael zaczął fikać.

W Szwajcarii ustalono (póki co), że USA i Iran powołają komórkę do ogarnięcia burdelu w Libanie. Do organu wejdą również przedstawiciele rządu tego państwa. Minister obrony Izraela Israel Katz oświadczył, że siły izraelskie „pozostaną w strefach bezpieczeństwa w Libanie, Syrii i Strefie Gazy bezterminowo”, a strefy te „zostaną oczyszczone z lokalnych mieszkańców i wszelkiej infrastruktury terrorystycznej, w tym domów”. Izrael najwyraźniej nie załapał (albo rżnie głupa), że geopolityczne potrzeby Stanów Zjednoczonych jako mocarstwa zawsze będą przyćmiewać stękania średniej wielkości państewka na Bliskim Wschodzie. Krótko mówiąc,

wydaje się, że Izrael bardziej potrzebuje Stanów Zjednoczonych niż Stany Zjednoczone Izraela. Trump ma szereg narzędzi do utemperowania Bibiego, choć nie każde w stu procentach skuteczne.

Aport i raport

Donald Trump także zmaga się z mało sprzyjającą politycznie sytuacją we własnym kraju w okresie poprzedzającym wybory parlamentarne.

Choć Pentagon oszacował bezpośrednie wydatki wojenne na dziesiątki miliardów dolarów, smarkate skutki ekonomiczne najbardziej odczuli amerykańscy konsumenci. Według wyliczeń Moody’s Analytics trwająca od końca lutego wojna kosztowała gospodarstwa domowe w USA ok. 100 mld dol. Ekonomiści wskazywali, że wzrost cen paliw zaczął niwelować korzyści płynące z obniżek podatków wprowadzonych przez administrację Trumpa. Szybkie zakończenie wojny z Iranem to ostatni gwizdek, aby spróbować wykreować pozytywną narrację polityczną i zapobiec utracie kontroli Trumpa nad Izbą Reprezentantów i Senatem.

Izrael ze względu na własne bezpieczeństwo jest zależny od amerykańskiego wsparcia finansowego i wojskowego. Obaj sojusznicy podpisali niedawno własne memorandum o porozumieniu, które gwarantuje, że USA będą przekazywać Izraelowi 3,8 mld dol. rocznie, w tym 500 mln na obronę przeciwrakietową. Groźba odcięcia od paśnika za gruzowanie Libanu może być jakąś formą nacisku na Tel Awiw. Biały Dom rozważał już wcześniej wstrzymanie konkretnych systemów – pocisków artyleryjskich 155 mm i zestawów JDAM – jako bata, choć bez podejmowania ostatecznej decyzji. Do wstrzymania sprzedaży ofensywnych systemów broni jako warunkowej presji wzywała też część Kongresu. Kłopot w tym, że rosnąca presja polityczna nie przekłada się jeszcze na realne ograniczenia legislacyjne. Co więcej, to narzędzie traci na sile. Izrael intensywnie inwestuje w produkcję krajową. W aspekcie krótkoterminowym broń USA wciąż ma znaczenie (przez wzgląd na zaawansowane systemy), ale długoterminowo Izrael aktywnie się uniezależnia. Nie bez znaczenia jest też integracja izraelskich technologii z amerykańskimi systemami.

Trump zainwestował wiarygodność w „zakończenie wojen” na Bliskim Wschodzie i w wizerunek siewcy pokoju. Jak wyszło, tak wyszło. Jeśli jednak Netanjahu wbrew jego woli będzie robił bajzel, a Trump nic z tym nie zrobi, wyjdzie na durnia. Z drugiej strony, Bibi może postraszyć amerykańskiego kolegę, że w przypadku rozłamu jego koalicji na fotelu premiera zasiądzie ktoś mniej przewidywalny. To natomiast nie leżałoby w interesie Waszyngtonu.

Sondaż z kwietnia 2026 r. wykazał, że 80 proc. respondentów opowiada się za kontynuowaniem wojny z Hezbollahem, nawet jeśli miałaby wywołać tarcia z USA. W amerykańskim parlamencie mimo drobnych wyłomów poparcie dla Izraela płynie z obu partii. Nie ma się czemu dziwić, American Israel Public Affairs Committee aktywnie lobbuje w Kongresie i finansuje kampanie polityków. Przeciąganie liny trwa, a najbliższe tygodnie pokażą, czyje interesy wezmą górę w Libanie.

IDALIA DUBICKA

F-35 i polska odklejka

Symbole pożarły rzeczywistość

Kłaniam się nisko po same piździsko, niżej nie mogę, bo wykurwię w podłogę – ta grubo ciosana fraza mojego kolegi ze studiów Dominika przychodziła mi raz po raz do głowy, gdy obserwowałam powitanie na polskiej ziemi myśliwców F-35. Wydaje mi się, że w tym głośnym medialnym wydarzeniu widać jak w soczewce problem, który przed niemal dwiema dekadami objaśnił historyk idei Bronisław Łagowski w eseju „Symbole pożarły rzeczywistość”.

Do bólu praktyczni Amerykanie mają zgrabne powiedzenie: *put your money, where your mouth is* – co oznacza konieczność popierania swych słów czynami, zaangażowaniem, a koniec końców pieniędzmi. Dlatego nie wierzę tym wszystkim politykom – w partiach i mediach, udającym dziennikarzy – płaczącym nad chorymi na raka lub rzadkie choroby dziećmi, nędzarzami czy po prostu ludźmi, którym trudno przychodzi wiązanie końca z końcem. Potrzeby rozwojowe kraju są ogromne, lecz niebotyczne sumy są przeznaczane na uzbrojenie, którego skuteczność (a tym bardziej efektywność) budzi daleko idące wątpliwości ekspertów. Nie budzą ich natomiast olbrzymie koszty utrzymania, które ciągnąć się będą przez dziesięciolecia.

Pokutujące w umysłach mity

Łagowski podkreślał w swym eseju, że cechą Polaków jest „stawianie wyżej w ontologicznej hierarchii uświęconych symboli i mitów niż rzeczywistości”. Rękami i nogami podpisuję się pod jego konstatacją: „Objaśnianie przyczynowe faktów i zjawisk prawie zniknęło z publicznych debat, co spowodowało, że publiczne naradzanie się – nie ma bez tego demokracji – do niczego nie prowadzi. Traktowanie mitów i symboli jak rzeczywistości doprowadziło do tego, że realności – realne fakty, realni ludzie – są traktowane jak byty symboliczne, a więc mimo wszystko fikcyjne”…

Fikcyjni stali się ludzie umierający przez brak badań przesiewowych, popełniający samobójstwa z biedy, dzieciaki pozbawione kontaktu z psychiatrą i psychologiem. Fikcyjni są coraz bardziej zidiociali nastolatkowie, niemający edukacji na wysokim poziomie i darmowych zajęć pozaszkolnych, które odciągnęłyby je od wlepiania oczu w rolki na komórkach. Fikcyjni są mieszkańcy wyludniających się wiosek na ścianie wschodniej, gdzie średnia wieku mieszkańca to 60 lat, a do najbliższego lekarza czy sklepu można się dostać wyłącznie samochodem, którego większość nie posiada.

Im wszystkim Najjaśniejsza Rzeczpospolita – teraz uśmiechnięta, uprzednio katolicko-narodowa – pokazuje środkowy palec i mówi, że

dla nich nie ma pieniędzy. Za to pół miliona dolarów na jeden hełm do obsługi F-35 się znajdzie. Jak też 12 mln dol. na szkolenie jednego pilota tej maszyny.

Parada zidiocenia

F-35 witano w naszym kraju niczym globalne gwiazdy popu albo i papieża. Wydarzenie to nazwano skromnie „Powitanie z Polską”, a supermyśliwce – jak utarło się mówić – przeleciały nad Warszawą, Krakowem i Gdańskiem. Następnie nadano im nazwę „Husarze”, a w uroczystościach wzięli udział prezydent Nawrocki i szef MON Kosiniak-Kamysz. W nowoczesną realizację wydarzenia zaangażowała się licząca sto (!) osób ekipa z TVN24, która podobno za darmo zrealizowała transmisję. Nikomu nie przeszkadzało, że godzina lotu F-35 – koszty paliwa, serwisu, części, logistyki – to minimum 150 tys. zł.

– To jest strategiczny dzień, który nie jest tylko pokazaniem naszej siły, zdolności operacyjnych i możliwości oddziaływania, ale jest też pokazaniem roli, jaką dzisiaj Polska odgrywa w budowie architektury bezpieczeństwa. Polska jest dziś niekwestionowanym liderem budowy architektury bezpieczeństwa w Europie, jest liderem wschodniej flanki NATO, wschodniej granicy Unii Europejskiej, która dzięki naszym działaniom jest najlepiej strzeżona i najlepiej chroniona w historii – podniecał się szef MON.

I dodał z patetyczną emfazą: – To jest wielki dzień. To jest dzień dumy Wojska Polskiego, ale to także wielki dzień dla wszystkich w Polsce. Poczucie dumy, wspólnoty, pokazanie tego, że Polska ani się nie zaczyna, ani się nie kończy w jednej dacie, że przychodzą kolejne rządy, prezydenci, kolejne pokolenia i najważniejsze i najmądrzejsze w tym wszystkim jest zachowanie ciągłości, stabilności i budowanie siły Rzeczypospolitej.

Kosiniak-Kamysz zrobił też dobrze swej żonie Paulinie, czyniąc ją jedną z matek chrzestnych „Husarzy”. Prawicowcom bardzo się nie spodobała ta prywata – oczekiwali, że w tej roli wystąpi Marta Nawrocka. Moim zdaniem jeszcze lepsza byłaby Doda.

Na tle ministra obrony narodowej dość bezbarwnie wypadł prezydent, który tylko mówił o tym, że pojawienie się myśliwców to wielki dzień, że dzięki nim jesteśmy mocniejsi, silniejsi i bezpieczniejsi.

Od siebie dodam, że na pewno jesteśmy biedniejsi.

Twarde lądowanie

Za PiS-u, w 2020 r., kupiliśmy 32 F-35 za skromne 4,6 mld dol. Ostatnio wiceszef MON Cezary Tomczyk zapowiedział, że kolejne 32 nabędziemy w najbliższym czasie. Do 2039 r. mamy zatem mieć cztery eskadry składające się z 64 maszyn. W chwili obecnej mamy całych czterech polskich pilotów F-35, kolejni się szkolą w Ameryce.

W tej całej orgii niewiele się mówi o realnej wartości bojowej myśliwca. Jak na ironię, parę dni po uroczystym powitaniu tych drogich zabawek Government Accountability Office – taki amerykański NIK – skrytykował program F-35, stwierdzając, że przez trzy czwarte czasu są one niezdolne do pełnego wykorzystania. Okazało się, że samym Amerykanom – nie wspominając o ich klientach – brakuje części, są problemy z oprogramowaniem, ogromne kłopoty z naprawami, część maszyn ulega korozji. Równocześnie F-35 kosztują amerykańskich podatników z roku na rok coraz więcej – i to „więcej” liczone jest w miliardach dolarów.

Dan Grazier z antywojennego think tanku Stimson Center mówi wprost, że F-35 to projekt zdecydowanie nieudany, a próby jego unowocześnienia, zwłaszcza aktualizacji niezwykle skomplikowanego oprogramowania, wciąż natykają na rozliczne problemy. Wielu analityków dodaje logicznie, że rozwiązać ich się nie da – bo gdyby się dało, to już by je dawno rozwiązano.

KAT

Ilustr. PAWEŁ FERENC

eprasa.pl 471020cdc7

Korespondencja z Londynu

Syndykaliści przeciw podżegaczom

Od paru lat maniakalnie podróżuję po Europie, biorąc udział w różnych antywojennych wydarzeniach. Czasem stanowię sto procent polskiej delegacji, czasem – jak uda mi się namówić kogoś z towarzyszy – połowę, albo i jedną czwartą. Generalnie jednak Polska jest jedynym z liczących się (w sensie liczby ludności) krajów Europy, w których żaden ruch pokojowy nie istnieje.

I to nie jest tak, że w Niemczech, Francji czy w Wielkiej Brytanii politycy i aktywiści podnoszący głos przeciwko zbrojeniom nie są oskarżani o działanie na rzecz Rosji (choć termin „ruskie onuce" jest naszym narodowym wynalazkiem). Tam po prostu ludzie lewicy mają więcej jaj i stać ich na przeciwstawienie się militarnemu szaleństwu. I dotyczy to nie tylko działaczy partii kanapowych, organizacji, o których nikt nie słyszał – ale też parlamentarzystów. Na czerwcowej Międzynarodowej Konferencji Antywojennej w Londynie byli członkowie Izby Gmin – oczywiście Jeremy Corbyn, ale też Diane Abott, Richard Burgon, Jon Trickett i Zarah Sultana; a także posłowie z innych krajów europejskich: Lorena Delgado Varas ze Szwecji, Jérôme Legavre z Francji, Peter Mertens z Belgii. Wyliczam ich tak szczegółowo, bo oddałabym nerkę, żeby zobaczyć tam choć jednego z 560 wybrańców narodu z Wiejskiej.

Wyścig do dna

Politycy rządzący Europą jeszcze tego nie zauważyli, ale ich społeczeństwa mają ich coraz bardziej dość – a naczelni podżegacze wojenni twardo przewodzą stawce znienawidzonych. Kwietniowe badanie przeprowadzone przez brukselski instytut Polling Europe Euroscope wykazało, że wśród szóstki przywódców europejskich, o których zapytano 5,4 tys. Europejczyków, pięcioro – Macron, Meloni, Tusk, Merz i von der Leyen – odnotowało negatywne poparcie netto (różnica między aprobatą i dezaprobatą) między minus 3 (Macron) i minus 17 (von der Leyen). Tusk – jakby to kogo interesowało – osiągnął wynik minus 9.

Co ciekawe, jedynym z badanych przywódców, cieszącym się pozytywną opinią netto, był wyraźnie antywojenny premier Hiszpanii Pedro Sánchez. Jest on też jedynym przywódcą, którego notowania rosną w jego własnym kraju. W zrobionym przez YouGov zestawieniu notowań liderów wśród ich wyborców po dnie szorują faceci przywodzący militarnemu szaleństwu: kanclerz Merz ma poparcie netto wynoszące minus 64 proc., prezydent Macron minus 60 proc., a odchodzący brytyjski premier Starmer – minus 51. I wszyscy trzej zaliczyli ostry zjazd w ostatni tygodniach.

Przyczyny tego zjazdu – który skądinąd, choć słabiej, odnotowuje też nieujęty w zestawieniu YouGov Donald Tusk – są na pewno w znacznym stopniu podyktowane krajowymi specyfikami i realiami. Ale są tematy oczywiste – i wspólne.

Było to widać w Londynie, gdzie politycy, związkowcy i aktywiści z kilkudziesięciu krajów powracali do dwóch kwestii, które dają nadzieję na lepsze jutro.

Po pierwsze: coraz trudniej ukryć fakt, że zwiększenie wydatków na wojsko odbywa się kosztem prawdziwych obowiązków państwa wobec obywateli: służby zdrowia, edukacji, nauki programów socjalnych, pomocy społecznej. Sens większości wystąpień można prostacko streścić w jednym zdaniu – co uczynię, bo czasem taka synteza się przydaje: pod pretekstem zagrożenia ze strony Rosji, w które większość polityków nie wierzy, zasłaniając się Ukrainą, która nikogo tak naprawdę nie obchodzi, europejscy liderzy pasą koncerny zbrojeniowe na koszt podatników, przy okazji podkopując prawa obywatelskie.

Szczęśliwie – i to być może najważniejsze przesłanie londyńskiej konferencji – istnieje siła, zdolna przeciwstawić się militarnemu amokowi elit. Twarda, zorganizowana i zaprawiona w walkach. To związki zawodowe.

Jo Grady, gensek brytyjskiego związku pracowników akademickich UCU, mówiła o kampanii Wages Not Weapons (Pensje, nie broń), która przekonała Trades Union Congress (TUC) – największą brytyjską centralę związkową, zrzeszającą 6 mln pracowników – do przeciwstawieniu się wzrostowi wydatków na zbrojenia. Ulrike Eifler z niemieckiego związku IG Metall przypominała, że szaleństwo militaryzacyjne nie kończy się na wydatkach. Oznacza także zagrożenie dla praw związkowych – np. uznanie produkcji jakiegoś zakładu za strategiczną dla bezpieczeństwa państwa zagraża prawu do strajku – przeciwko czemu jednoznacznie opowiedział się ostatnio kongres Deutscher Gewerkschaftsbund, największej niemieckiej centrali związkowej.

Branka

Niemieckie związki, wraz z organizacjami młodzieżowymi, protestują też przeciwko działaniom rządu Merza, który zmierza ruchem robaczkowym ku przywróceniu poboru do wojska. Na razie wprowadził obowiązkowy kwestionariusz dla mężczyzn w wieku poborowym – ale związkowcy i antywojenni aktywiści wyrażali obawę, że to tylko pierwszy krok. Nie bez racji: nie dalej niż w zeszły weekend „The Telegraph" opublikował rozmowę z Thomasem Röwekampem, przewodniczącym komisji obrony Bundestagu: „Jeśli nie uda nam się osiągnąć naszych celów poprzez dobrowolną rekrutację, będziemy musieli powrócić do obowiązkowego poboru do wojska".

Sean Vernell z UCU przypomniał fakt, o którym dawno nie słyszeliśmy: że to nie dzieci elit będą ginąć na wojnie. „Kiedy Mark Rutte mówi, że musimy być gotowi na poświęcenia – nie ma na myśli swojej rodziny. Na brytyjskich nagrobkach w Normandii próżno szukać dwuczłonowych nazwisk" (w UK kojarzonych z arystokracją).

Związkowcy akademiccy, działacze młodzieżowi i studenccy zwracali też uwagę na ponury krajobraz rekrutacyjny, który opanował ulice wielu europejskich miast: „Lubisz futbol – wstąp do wojska" – zachęcają reklamy na brytyjskich autobusach i w metrze. Uczelnie w różnych krajach oferują urlop dziekański na służbę wojskową. Jest to szczególnie niepokojące w Niemczech, gdzie – jak gorzko zauważył Jonas Winkler z organizacji „Młodzi przeciwko cięciom społecznym" – zaczęły się już dwie wojny światowe. Co szczególne, 70 uczelni niemieckich jest sygnatariuszami Zivilklausel (klauzuli cywilnej) stanowiącej, iż wszelkie badania naukowe, prace artystyczne i rozwój technologii służą wyłącznie celom pokojowym i wykluczają współpracę z sektorem zbrojeniowym. Jak uczelnie chcą to pogodzić z chodzeniem do łóżka z przemysłem zbrojeniowym – nie wiadomo.

We Włoszech powstało Obserwatorium Przeciwko Militaryzacji Szkół i Uniwersytetów, które zajmuje się badaniem podstępnych metod wciągania młodzieży do struktur militarnych państwa – głównie poprzez formułę, którą Luca Alberti Archetti z Obserwatorium nazwał „izraelizacją" – co oznacza między innymi coś na kształt społeczeństwa podwójnego zastosowania, gdzie każdy pracownik cywilny ma swoją wojskową rolę. Co – zauważam z niepokojem – jest promowane także w Polsce.

Wszyscy jesteśmy Palestyńczykami

Drugim optymistycznym wnioskiem płynącym z londyńskiej konferencji jest to, że wśród Europejczyków panuje coraz bardziej powszechne oburzenie odbywającym się na naszych oczach (nadal – choć na mniejszą skalę) izraelskim ludobójstwem w Gazie. Nawet jeśli europejscy liderzy, posłuszni USA i zastraszeni przez izraelski szantaż antysemityzmem, nie mają odwagi nazwać tej zbrodni po imieniu ani przeciwstawić jej się w żaden wymierny sposób – obywatele Europy nie mają już wątpliwości. Wielu mówców zauważało, że ruch lojalności wobec Palestyńczyków i niezgody na izraelskie zbrodnie jest najpotężniejszym ruchem antywojennym na świecie od wielu, wielu lat – jak ktoś powiedział: od czasu sufrażystek.

Najcelniej sformułował to Mustafa Barghouti, palestyński lekarz i przewodniczący partii Palestyńska Inicjatywa Narodowa: kwestia Palestyny jest dziś obecna nie tylko w każdym ruchu antywojennym, ale też w każdej kampanii w każdych wyborach na całym świecie.

Pytanie, które dziś powinniśmy sobie zadać, brzmi: dlaczego nie w Polsce? Według kwietniowego sondażu na zamówienie Lekarzy Bez Granic 67 proc. Polaków negatywnie ocenia traktowanie palestyńskiej ludności cywilnej przez Izrael; tyle samo chce, by Polska zaangażowała się dyplomatycznie na rzecz pomocy dla Palestyńczyków. 45 proc. uważa, że polskie władze nie robiły dość, żeby przeciwdziałać ludobójstwu.

Myślę sobie, że te wszystkie kwestie – absurdalne wydatki zbrojeniowe, brutalne cięcia socjalne, bezczynność rządu wobec ludobójstwa – powinny stać się tematem kampanii także w naszej smutnej ojczyźnie.

Może dzięki temu dorobimy się wreszcie prawdziwej lewicy.

AGNIESZKA WOŁK-ŁANIEWSKA

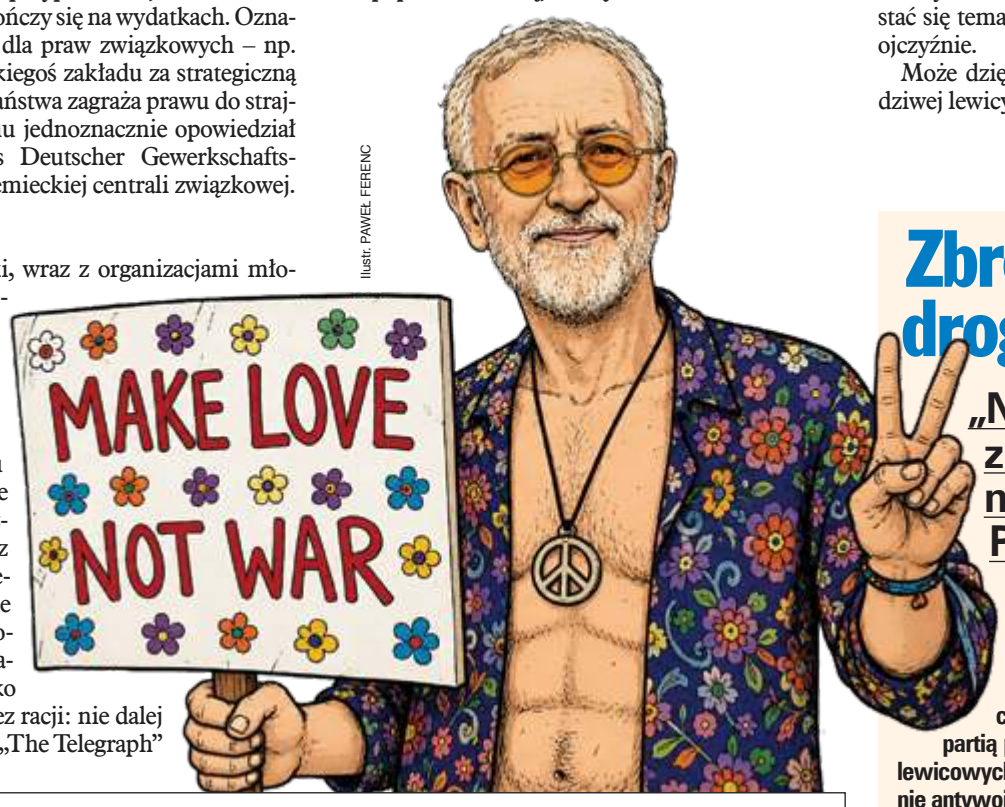

Ilustr. PAWEŁ FERENC

Czołgi pilnie kupię!

Shopping spree Wojska Polskiego

Od czasu pełnoskalowej agresji Rosji na Ukrainę zakupy w Wojsku Polskim urwały się z luźnej już uprzednio smyczy. Pod koniec zeszłego roku Agencja Uzbrojenia (AU) realizowała pół tysiąca kontraktów o wartości ponad 600 mld zł. Dziś jest to zapewne 100 mld więcej.

Gdy w edukacji marnie, w służbie zdrowia cięcia, w zbrojeniach – donosi z dumą strona internetowa AU – jest naprawdę na bogato. Cytując wybitnego wodza zwycięskiej wojny Józefa Wissarionowicza Stalina, mamy wręcz zawrót głowy od sukcesów. W zaledwie trzy dni (!) od 28 do 30 maja, „wliczając umowy wcześniej zawarte, a również finansowane lub współfinansowane ze środków pochodzących z instrumentu SAFE, Agencja Uzbrojenia zakontraktowała 38 nowych umów i aneksowała 12 wcześniejszych kontraktów na łączną kwotę w wysokości ok. 118 mld zł".

Dla porównania – nauka i szkolnictwo wyższe przez 365 dni tego roku zadowolić się będzie musiało budżetem nieco powyżej 44 mld zł.

Jako iż kasy jest w bród, a procedury trwają długo, armia coraz częściej sięga po zakupy z ominięciem wszelkich procedur wieloletniego planowania i prawa zamówień publicznych, w ramach tzw. Pilnej Potrzeby Operacyjnej. W 2019 r. odnotowano jeden taki zakup; w latach 2022–2025 było ich w sumie aż 80. Obecnie co piąty deal zbrojeniowy korzysta z tej furtki.

Ktoś może powiedzieć, że pancerne zagony Putina już czyhają na rozkaz ataku na nasz kraj, więc koniecznie szybko trzeba się dozbroić. Jednak jak wyjaśnia gen. dr Michał Marciniak ma stronie Wojsko-Polskie.pl, „czas dostawy niekoniecznie musi być powszechnie rozumiany jako »pilny« lub »na wczoraj«. Nie ma bowiem możliwości pozyskania skomplikowanego systemu uzbrojenia »od ręki«"…

W ten sposób rodzima armia na nowo zdefiniowała słowo „pilny". Jak trafnie zauważyła niedawno „Rzeczpospolita", „jedną z pierwszych takich transakcji był zakup śmigłowców Blackhawk dla Wojsk Specjalnych w 2019 r., co de facto było decyzją stricte polityczną – po niepodpisaniu kontraktu na zakup śmigłowców Caracal od Airbusa, rząd Prawa i Sprawiedliwości musiał wreszcie pokazać, że jakieś śmigłowce kupuje".

Z tej furtki korzystano też przy zakupie 250 czołgów Abrams – co skądinąd uczyniono z pominięciem ówczesnego szefa sztabu gen. Rajmunda Andrzejczaka. Nierzadko też „pilność" jest dzieckiem wcześniejszego lenistwa; jak cierpko stwierdziła „Rzepa", „jeszcze rok temu w resorcie obrony nie widziano potrzeby zakupów systemów antydronowych, a teraz robi się to na cito".

Już Clausewitz w dziele „O wojnie" podkreślał pokrewieństwo wojny do handlu. Nie bez racji. Tyle że póki co – i niech tak zostanie – żadnej wojny (poza polityczną i kulturową polsko-polską) nie ma.

Co gorzej, potężne i niekontrolowane wydatki na zbrojenia to kwestia przetargów politycznych, obsesji militarystycznej, łaszenia się do potężnych producentów broni (pokłony bijemy Wielkiemu Bratu zza Wielkiej Wody) lub nacisku rodzimego przemysłu wojskowego czy związkowców. Gwoli ścisłości, nasz przemysł zbrojeniowy niekoniecznie buduje tanio, dobrze czy choćby szybko.

Jeżeli Rosja ma nas zaatakować za 2–3 lata, to pakowanie setek miliardów w produkcję broni, która do nas trafi za pięć czy 10 lat, jest absurdem. Jeśli zaś wydajemy fortunę „dla odstraszania" – to lepiej by było, gdyby zakupy te nie sprawiały wrażenia robionych na łapu-capu, bez ładu i składu.

Pytanie brzmi: ile czasu jeszcze będziemy tolerować takie marnotrawstwo? Przecież politycy i wojskowi nie wydają prywatnych pieniędzy, lecz kasę, za którą można by realnie poprawić byt, kształcenie i zdrowie milionów Polaków. Cytując nieśmiertelnego inżyniera Mamonia z „Rejsu": i kto za to płaci? Pan płaci, pani płaci…

Z.J.

Ilustr. KRZYSZTOF OLEJNIK

Zbrojenia nie są drogą do pokoju

„NIE" rozmawia z Jeremym Corbynem, liderem Your Party w Izbie Gmin, byłym przewodniczącym Partii Pracy

– Co stało się pomiędzy lewicą a ruchem pokojowym? Poza pańską nową partią próżno dziś w Europie szukać formacji lewicowych, które byłyby równocześnie radykalnie antywojenne…

– Lewica i ruch pokojowy to to samo – historycznie zawsze tak było i wydarzenia takie jak dzisiejszy kongres w Londynie czy niedawny w Brukseli dają mi nadzieję, że znowu tak będzie. Mamy tu kilka tysięcy ludzi z wszystkich stron świata, zjednoczonych ideą zbudowania globalnego ruchu, który przeciwstawi się przemysłowi zbrojeniowemu i polityce gospodarczej, która tworzy biedę, podziały i rasizm w naszych społeczeństwach.

– Jest pan bodaj jedynym prominentnym politykiem europejskim, który opowiadał się przeciwko zbrojeniu Ukrainy. Pół roku po wybuchu pełnoskalowego konfliktu udzielił pan wywiadu libańskiej telewizji Al Mayadeen, oskarżanej na Zachodzie o prorosyjskość, za co był pan ostro atakowany przez niedawnych kolegów z Labour Party. Mówił pan: „Zbrojenie Ukrainy nie przyniesie rozwiązania, a jedynie przedłuży i zaostrzy tę wojnę, może ona trwać długie lata". I jako żywo…

– Byłem przeciwny zbrojeniu Ukrainy, ponieważ sądzę, że zbrojenie kogokolwiek nie jest drogą do pokoju. Drogą do pokoju jest – proszę wybaczyć oczywistość – zakończenie wojny. I to jest to, do czego wszyscy powinniśmy zmierzać.

– „Wszystkie wojny kończą się rozwiązaniem politycznym; wszystkie wojny kończą się dialogiem; czemu więc nie pominąć fazy walki i nie przejść od razu do fazy rozmów" – mówił pan wtedy, co naturalnie oburzyło entuzjastów „ukraińskiego wysiłku wojennego". Jak dziś, cztery i pół roku później, widzi pan koniec tego konfliktu?

– Myślę, że w jakimś momencie nastąpi dyplomatyczne zakończenie wojny. Sądzę, że stanie się tak dzięki pośrednictwu Unii Afrykańskiej albo podobnej organizacji; na pewno nie będzie to zasługa Europy. Ale w końcu dojdzie do tego porozumienia – i w efekcie będziemy musieli się nauczyć razem żyć i szanować się nawzajem.

Rozmawiała **AGNIESZKA WOŁK-ŁANIEWSKA**

eprasa.pl 471020cdc7

MÓŻDŻEK TYGODNIA

Ilustr. KRZYSZTOF OLEJNIK

Redaktor Agnieszka Burzyńska nie była Maurką, nie miała na imię Otello, a mimo to wszędzie wokół siebie widziała Desdemony. Setki Desdemon. Tysiące Desdemon. A wszystkie tak ubrane jak córy najbogatszych weneckich senatorów.

„Skąd one mają takie superciuchy?" – myślała Burzyńska, nie mogąc spać. Nie mogąc jeść. Nie mogąc spokojnie prasować swoich ubrań. Pozszywanych, pocerowanych, połatanych i tak spranych, że nie można było rozpoznać ani kolorów, ani metek.

– Skąd jesteś, laluniu? – zapytała Burzyńska jedną taką, która właśnie wysiadała z czerwonego Mercedesa.

– Dzień dobry – odpowiedziała Desdemona, udając dobre maniery. – Z Chersonia.

A potem wsiadła do żółtego Bugatti, które zatrzymało się przy krawężniku. Za kierownicą siedziała inna Desdemona, w bluzce od Chanel i czółenkach Andrei Wazen.

– A ja z Pokrowska – zdążyła zawołać ze wschodnim zaśpiewem, zanim ruszyła z piskiem niskoprofilowych opon.

Burzyńska poczerwieniała z wściekłości.

– Biedaczki – sapnęła z ironią w głosie, czując, jak jej się pruje sukienka. Miała ze 30 lat. Sukienka, a nie Burzyńska.

Nosiła skromną garderobę. Stołowała się w barach mlecznych lub sama sobie gotowała kleik ryżowy. Jeździła tramwajem albo elektryczną hulajnogą wynajmowaną na minuty. Leczyła się w publicznej służbie zdrowia i chodziła do kosmetyczki, która unikała płacenia podatków.

Mimo to trzymała głowę wysoko. Miała w sobie polską dumę i bogactwo duchowe. Czuła się jak milion dolarów, nawet jeśli pracowała w medium z zerem w nazwie.

PRZEMYSŁAW ĆWIKLIŃSKI

SŁOWO CZERWONE

Flagowiec warszawskiej KO tonie

W szpitalu straszy

Kiedy interweniowałem w sprawie dodatków covidowych dla laborantów, dowiedziałem się, że dyrektor szpitala, który walczy na pierwszej linii frontu z epidemią, to rodzaj Judyma. I aż mi szczęka opadła, kiedy zobaczyłem, że ów „Judym" jeździ Ferrari. Jakieś dwa miesiące temu na antenie jednej z prawicowych telewizji podniosłem temat absurdalnie wysokich płac lekarzy na kontraktach. To było sto i więcej tysięcy miesięcznie. Wtedy pani premier Szydło obruszyła się, twierdząc, że niepotrzebnie napuszczam jednych lekarzy na drugich. Jej, podobnie jak całej tej polskiej prawicy, te różnice płacowe w służbie zdrowia nie obchodziły. Wysokie płace uzasadniali brakiem lekarzy. A jednak większość lekarzy zarabia normalnie i jakoś nie odchodzi z zawodu. Doktor Krzysztof Bielecki, który przestał operować kilka lat temu, zapytany przeze mnie o swoją ostatnią płacę, odpowiedział, że już tuż przed emeryturą zarabiał nieźle, bo aż 7000 zł.

Dlaczego więc 1,6 mln zł zarobione przez Dawida Kacprzyka, młokosa bez specjalizacji, wywołało taką burzę? Bo młody koordynator SOR-u w Szpitalu Południowym na warszawskim Ursynowie był związany z Koalicją Obywatelską. Nie chodzi więc o sprawiedliwe płace, lecz o przywalenie konkurencji politycznej.

Zadaję więc pytanie: czy lekarze zarabiający owe miliony rocznie zarabiają je uczciwie? Czy ci ludzie, w odróżnieniu od swych kolegów i koleżanek zarabiających 10 razy mniej, są jakimiś supermenami?

Szpital Południowy, ten flagowy okręt Rafała Trzaskowskiego, okazał się niewypałem. Między innymi za sprawą partyjnego czynownika Kacprzyka. Nawet jeżeli hiobowe wieści doktora Emila Jędrzejewskiego o tym, że z powodu zaniedbań ludzie marli jak muchy na SOR-ze okażą się przesadzone, to

wystarczy, że działacze Platformy byli obsługiwani poza kolejnością, a inni musieli czekać jak wszędzie – żeby tę placówkę zdyskredytować.

To jednak sprawy nie załatwia. Mam wciąż nadzieję, że obok partyjnej dintojry dojdzie do rewizji kontraktów umożliwiających wybrańcom wysysanie z zabiedzonej ochrony zdrowia olbrzymich i z pewnością nienależnych sum.

Na doktora Jędrzejewskiego rozpoczęła się medialna i polityczna nagonka. Wezwała go prokuratura i widać, że gość jest przerażony. Tymczasem Kacprzyk przez nikogo nie niepokojony pojechał na zasłużone wakacje, bo żeby zarobić swoje 1,6 mln zł, musiał się biedaczysko nieźle naharować.

20 sfałszowanych aktów zgonu robi wrażenie. Lekarz, którego pieczątką i podpisem (sfałszowanym) się posłużono, złożył doniesienie o możliwości popełnienia przestępstwa. Nie wiemy, kto i po co te akty fałszował. I nie ufamy prokuraturze, która umarza wszelkie sprawy Nowakom i Giertychom. Jak więc mamy się dowiedzieć, czy po Szpitalu Południowym nie grasuje jakiś ponury żniwiarz?

Rys. RYSZARD DĄBROWSKI

Kiedy doktor Bielecki dowiedział się, że tajemnicze okoliczności zgonów w Szpitalu Południowym bada prokuratura, to się zdziwił. Przecież to normalne, że w szpitalach zdarzają się zgony. – W moich czasach też badaliśmy okoliczności śmierci pacjentów. Ale robili to lekarze, żeby się dowiedzieć, jak można było tym zejściom śmiertelnym zapobiec. Ale żeby prokurator... – mówi.

Efekt może być taki, że wielu ludzi jednak nie położy się w szpitalu, gdzie ludzie giną w tajemniczych, niewyjaśnionych okolicznościach.

Wszystko zaczęło się w 2021 r., w setną rocznicę powstania Szpitala na Solcu. Zamiast uroczystości, wręczania medali i bankietów zaczęła się ewakuacja szpitala, bo jakoś trzeba było wyposażyć powstający naprędce Szpital Południowy. Doktor Bielecki zapamiętał, że wyrywano umywalki, by je zamontować w nowo powstającym szpitalu na Ursynowie. Ten sam los spotkał wysłużone meble. Do nowej placówki przeniesiono też kontrakt z NFZ-em.

– To wszystko, zabranie emerytom placówki w Śródmieściu, do której mieli blisko, byłoby jakoś do strawienia, gdyby nie obecny skandal. W obronie Szpitala na Solcu odbywały się liczne protesty, mówi chirurg. – Ale na nic się nie zdały, tak „mężnie" Rafał Trzaskowski dążył do celu. Zapewnienia swoim wyborcom z Ursynowa szpitala pod reką.

To, co miało być chlubą warszawskiej służby zdrowia, okazało się jakimś koszmarem. Prawica spróbuje na fali tego skandalu odwołać prezydenta stolicy. Sądzę jednak, że to się nie uda. Przeważający w bogatej Warszawie elektorat liberalny umie wybaczać swym wybrańcom. Nie da się odwołać kogoś, kto jeszcze tak niedawno dostał w wyborach prezydenckich 10 mln głosów, prawie dokładnie tyle co prezydent Nawrocki. Chyba że pojawi się ktoś w stylu Zohrana Mamdaniego, mera Nowego Jorku, jakiś światły imigrant. Taki, który zatroszczyłby się o wszystkich mieszkańców, tych z Ursynowa i tych z Pragi.

PIOTR IKONOWICZ

Tarczyński i przyjaciele

Polski ślad w brytyjskich pogromach

Po sadystycznym ataku Sudańczyka na przypadkowego przechodnia w Belfaście przez Irlandię Północną przetoczyła się fala antyimigranckich, niszczycielskich zamieszek. Europoseł PiS Dominik Tarczyński zbawcę dla – zagrożonej jego zdaniem – irlandzkiej tożsamości widzi w zawodniku MMA.

Sieć nienawiści

Wieczorową porą 8 czerwca w Belfaście ciemnoskóry mężczyzna zaatakował nożem niepełnosprawnego przechodnia. Świadkiem zdarzenia była młoda kobieta, która nagrała siedzącego okrakiem na ofierze napastnika. Kilka godzin później wideo z ataku, na którym widać agresora dłubiącego nożem w głowie ofiary jak w ziemniaku, krążyło po całym internecie. Napastnikiem okazał się Hadi Alodid, 30-letni uchodźca z Sudanu z prawem pobytu w Zjednoczonym Królestwie. Ofiarą – 44-letni niedosłyszący i niepełnosprawny intelektualnie Stephen Ogilvie, który dzięki pomocy przechodniów zamiast na cmentarz (póki co), trafił do szpitala. Straty zdrowotne mężczyzny są znaczne: utrata jednego oka, okaleczenie drugiego, liczne rany kłute i cięte. Motyw sprawcy bada lokalna prokuratura, na razie wykluczyła atak terrorystyczny. Nagranie zajścia stało się kluczowym dowodem rzeczowym i zapalnikiem pogromu.

Film z ataku w ciągu pierwszej godziny osiągnął miliony wyświetleń, a zasięg postów go udostępniających szybko przekroczył kilkanaście milionów. Jako jeden z pierwszych drastyczne wideo udostępnił na Iksie brytyjski aktywista skrajnej prawicy Tommy Robinson.

„To jest to, co wasz rząd wpuścił do kraju. Próba dekapitacji na ulicach Belfastu przez osobę, która rzekomo uciekła przed wojną. System jest zepsuty, a nasi obywatele płacą za to własną krwią" – napisał Robinson i dodał: „Sudańczyk dostaje azyl w kilka miesięcy, przechodzi przez otwarte granice, a potem próbuje odciąć głowę niepełnosprawnemu. Jak długo jeszcze Brytyjczycy mają milczeć?". Mocne słowa jak na obywatela, który potknął się o kilka wyroków sądowych. Portfolio wyskoków Robinsona (jego prawdziwe nazwisko to Stephen Yaxley-Lennon) jest bogate: napaść na policjanta, nękanie i stalking niezależnej dziennikarki, bójki i chuligaństwo, próba wjazdu do USA na cudzym paszporcie, a także przegrana w procesie o zniesławienie syryjskiego nastolatka.

Jamal Hijazi przybył do Wielkiej Brytanii w wieku 13 lat w październiku 2016 r. w ramach syryjskiego programu przesiedleń dla osób szczególnie narażonych. Jego rodzina uzyskała azyl, chłopak rozpoczął naukę w szkole w Huddersfield. Nowy kolega nie przypadł do gustu lokalsom, wskutek czego od początku zgarniał manto i był poddawany wyraźnie rasistowskim prześladowaniom.

W październiku 2018 r. Jamal został zaatakowany na szkolnym boisku. Film z tego zdarzenia trafił do sieci. Robinson przemalował wersję wydarzeń i w dwóch filmach na Facebooku opublikował stwierdzenia, że to Hijazi był sprawcą przemocy – posiniaczył Angielkę, a innemu chłopcu groził nożem. Rodzina syryjskiego nastolatka otrzymała tyle gróźb śmierci, że musiała się przeprowadzić. Sprawa trafiła do sądu, który wycenił pomówienie wobec chłopaka na 100 tys. funtów odszkodowania i przyklepał Robinsonowi sądowy zakaz szerzenia oszczerstw. Prawicowy influencer próbował wymigać się od zapłaty, ogłaszając bankructwo. Finalnie zabulił, ale zakaz kolportowania kocopołów złamał 10 razy, za co trafił za kraty na całe 18 miesięcy.

Pogrom

Islamofobiczny, nacjonalistyczny, oskarżany o faszyzm i rasizm Brytyjczyk to bliski kumpel Dominika Tarczyńskiego. W listopadzie 2025 r. przyjechał nawet na Marsz Niepodległości. Obaj gentlemani brali udział w londyńskim antyimigranckim wiecu we wrześniu ubiegłego roku, gdzie skandowano hasła o białej, chrześcijańskiej Europie. Tarczyński i Robinson mają w polu widzenia jeszcze jedną gwiazdę prawicowej ekstremy, i to ją postanowił wypromować pisowski pomazaniec.

Władze Irlandii Północnej oraz policja ostro skrytykowały algorytmy mediów społecznościowych, zarzucając im celowe podbijanie zasięgów drastycznego materiału z ataku. Najwidoczniej nie zdawały sobie sprawy, że tak właśnie działają i zarabiają serwisy społecznościowe. „Tylko przez wielokrotne i głośne protesty cokolwiek się zmieni!" – podgrzewał atmosferę na X Elon Musk. Wielomilionowe zasięgi w kilka godzin doprowadziły do mobilizacji prawicowych ekstremistów i wybuchu zamieszek w Belfaście i okolicznych regionach. Kilkusetosobowe grupy zamaskowanych bandytów w trosce o ojczyznę demolowały mienie publiczne i prywatne.

W internecie udostępniono listę z adresami domów imigrantów, według której budynki obrzucano kamieniami i podpalano. Napastnicy zatrzymywali losowe samochody i na podstawie koloru skóry pytali o narodowość. Blisko 30 imigranckich rodzin straciło dach nad głową

lub uciekło ze swoich domów w obawie o życie. Funkcjonariusze policji zostali poczęstowani przez tłum fajerwerkami, kamieniami i koktajlami Mołotowa.

Rodzina Stephena Ogilvie potępiła zamieszki i zaapelowała o natychmiastowy spokój, ale prawicowi patrioci mieli to w dupie. Na dokładkę rozpuszczali w sieci fałszywe informacje,

eprasa.pl 471020cdc7

Ilustr. KRZYSZTOF OLEJNIK

Cierpliwość, cierpliwość, cierpliwość

Uczyć się trzeba nawet od Chińczyków

Czego Polacy powinni się uczyć od Chińczyków? Takie pytanie często ostatnio słyszę. Zwykle zadają je wyznawcy i entuzjaści polskiej suwerenności, o narodowo-patriotycznych poglądach. I oni pierwsi powinni czerpać z chińskich nauk.

Chińczycy kochają suwerenność swego państwa przynajmniej tak mocno jak Polacy. Warto przypomnieć, że 1 października 1949 r. przewodniczący Mao Zedong, zapowiadając powstanie Chińskiej Republiki Ludowej, ogłosił też kres „stulecia upokorzeń". Czyli dominacji Japonii i mocarstw zachodnich nad Chińczykami. Obiecał też Chińczykom, że nie będą już kłaniać się zagranicznym okupantom, nie będą już przez obcych pomiatani. Obiecał, podobnie jak obiecuje dzisiaj Polakom niejeden polski polityk. Ale Mao i jego następcy dotrzymali złożonych obietnic. Od tamtej pory Chiny rozpoczęły marsz po odzyskanie suwerenności. Ku „należnemu im miejscu" na globie. Ku pozycji światowego gospodarczego imperium, jakim jeszcze do 1820 r. cesarstwo chińskie było.

Dziejowa czy handlowa

Aby zbudować suwerenność, chińskie elity polityczne i gospodarcze krok po kroku tworzą własne instytucje, technologie, globalne infrastrukturalne przedsięwzięcia. Chińskie platformy do komunikacji internetowej, chińskie satelity do obserwacji wszystkiego, chińskie systemy płatności – stale powstają tam nowe chińskie marki towarów produkowanych w chińskich fabrykach lub montowanych w ich zagranicznych filiach.

W ostatnich latach Chińczycy silnie propagują i wcielają w życie nowoczesne technologie. Zagranicznym gościom prezentują teraz tylko fabryki chińskich robotów albo chińskich samochodów elektrycznych produkowanych przez chińskie roboty. Czasem też gigantyczne chińskie elektrownie słoneczne, wiatrowe, wodne. Chociaż w Chinach nadal są kopalnie węgla i elektrownie węglowe, to nimi się Chińczycy już nie chwalą. Traktują je jako przeszłość i rezerwę strategiczną. Bo chińskie elity, dążąc do swej suwerenności, tworzą nowoczesną gospodarkę. I nowy międzynarodowy porządek. W Chinach i na świecie.

Polskie elity polityczne swą dbałość o polską suwerenność rozumieją jako restytuowanie i konserwowanie jej tradycyjnego modelu. Stworzonego w wiekach ubiegłych. Minionych. Dlatego w celu jej odzyskania skupiają się przede wszystkim na kontestowaniu obecnego europejskiego porządku i działalności instytucji, do których niedawno wstąpiły. Skalę wywalczonej suwerenności wyznacza im suma sprzeciwów wobec aktualnej polityki Unii Europejskiej i NATO, a ostatnio także działalności prezydenta Trumpa. Sprzeciwy te mają zwykle postać symbolicznych, nieefektywnych gestów. Gromkich, potępiających zagranicznych liderów komentarzy. Codziennie publikowanych przez liderów polskiej polityki. Na internetowych platformach zarządzanych i posiadanych przez zagraniczne korporacje. Bo własnych platform polskie elity nadal nie mają.

Chińska suwerenność oparta jest na produkcji chińskich towarów przez chińskich producentów i wszelkich działaniach na rzecz intensyfikacji sprzedaży ich w Chinach i na świecie. Zapewne dzieje się tak, bo chińscy liderzy polityczni zwykle posiadają politechniczne, inżynierskie lub ekonomiczne wykształcenie. Polscy liderzy polityczni to z wykształcenia historycy, politolodzy, prawnicy. Tacy „inżynierowie dusz". Pewnie dlatego polskie elity polską suwerenność postrzegają jako ich misję dziejową. Chińskie – jako misję handlową.

Niedawno polskie elity pokazały światu, że mają wystarczające kompetencje, by sprawnie wnieść staruszce lodówkę do mieszkania. Nadal nie są w stanie stworzyć gospodarki projektującej, produkującej i sprzedającej lodówki polskich marek. Nie zabiegają też o stworzenie wspólnych europejskich lodówek. Nawet europejskiej wspólnej armii. Takie inicjatywy kłócą się z ich pojmowaną suwerennością.

Honor czy twarz

Polskie elity polityczne lubią ostatnio przypominać fundamentalną dla nich wartość. Honor. Często ten Honor występuje w związku partnerskim z Ojczyzną. A u patriotycznych katolików tworzy też trójkąt miłosny z Bogiem. Jaki jest teraz polski Honor, każdy niedawno widział. W czasie ciągnącej się jak brazylijski serial międzynarodowej awantury o odebranie Orderu Orła Białego ukraińskiemu prezydentowi. Wtedy słyszeliśmy też często rozsądne opinie, że decyzja polskich polityków może była zbyt pochopna i na pewno psująca interesy polskiego biznesu. Teraz i w przyszłości. Ale Honor tak im zachować się nakazał.

W chińskiej kulturze tak rozumiany honor nie funkcjonuje. Jest za to powszechne, fundamentalne pojęcie *mianzi*. Tłumaczone jako „twarz". W sensie społecznym oznacza ono prestiż, szacunek i przede wszystkim dobrą reputację w oczach innych. Na nią trzeba sobie swą działalnością i zachowaniem zasłużyć. Tak rozumianą twarz można zyskać, na przykład ratując dziecko z pożaru. Albo osiągając sukces w sferze biznesu, nauki, kultury. Można też utracić twarz. Zwykle wywołując zgorszenie publicznie. Wytłumaczę to na przykładzie zrozumiałym w Polsce. W Chinach można się upić w wąskim gronie rodzinnym lub przyjaciół. Wtedy twarzy się nie traci. Ale upicie się w miejscu publicznym i zachowywanie się jak pijany już utratą twarzy grozi. Nie tylko pijaka. Również osób, wśród których ów pijak się upił. Zwłaszcza tych, którzy byli trzeźwi w czasie tej libacji. Bo ich obowiązkiem było niedopuszczenie do upicia się swego kolegi, powinowatego. Znanego jako pijaka, który już wcześniej publicznie upijał się i awanturował. Gdyby takie normy obowiązywały w Polsce, to pewnie wszystkie panie posłanki i panowie posłowie dawno by twarze utracili. Za to ukraiński prezydent nie straciłby nadanego mu w Chinach orderu. Nawet gdyby nazwał swą gwardię przyboczną imieniem tajwańskich separatystów.

Chińczycy od tysiącleci prowadzą inną politykę pozyskiwania zagranicznych przywódców, prezesów korporacji, szefów kościołów i wszystkich, których poparcia potrzebują. Obdarowują ich przede wszystkim licznymi i wypasionymi podarunkami podczas ich wizyt w Państwie Środka. Przygotowanych wedle znaczenia, rangi obdarowanych i przede wszystkim przyszłych korzyści dla chińskiej polityki i gospodarki tak uzyskanych. Podarki darujący wybierają staranie. Wcześniej dokonują solidnego rozpoznania gustów i oczekiwań obdarowywanego, czasem jego skrytych marzeń. Aby obdarowany nie miał najmniejszego powodu i pretekstu, by odmówić przekazanego mu daru. Bo wtedy chiński darczyńca traci swą twarz. Przekazywane podarki mogą być czasem wielkiej wartości materialnej, ale nie będą mieć wartości prestiżowej dla chińskiej państwowości. Dla Chińczyków. Takie w Chinach dostają Chińczycy zasłużeni dla Chin. Jedynie specyficznie zasłużeni dla przyjaźni z Chinami obcokrajowcy mogą dostać elegancki Medal Przyjaźni. Ale nie jest on w ostatnich latach masowo światowym liderom nadawany, bo w 2018 r. jako pierwszy ważny przywódca dostał go prezydent Rosji Putin. Zatem prezydentowi Zełenskiemu i wielu innym światowym prezydentom tego medalu przezorni Chińczycy nie odbiorą, bo pewnie ich nim nie odznaczą.

W Chinach raz wręczonych podarków i honorowych tytułów nie dobiera się. Nie dyskutuje się o tym publicznie. Nawet jeśli obdarowany zachowa się wobec Chin jak niedawno ukraiński prezydent wobec Polski.

W Polsce prezydenci obłaskawiają zagranicznych liderów politycznych, biznesowych i medialnych, obwieszając ich polskimi orderami. O różnych rangach, zawsze o niskiej wartości materialnej dla obdarowanych. Za to o wielkiej wartości symbolicznej, świętej nawet, dla Polaków. Dlatego w razie polskiej pomyłki orderowej zaczynają się u Polaków publiczne symboliczne dąsy. Polityczne i narodowe kłótnie.

W Chinach do uzyskiwania przychylności potencjalnych partnerów służą praktyczne wartości materialne. Bogate Chiny stać na takie. Bidna Polska skąpi ich, wierząc, że zadziała magia polskich orderów.

Siła spokoju

Chiny są państwem, gdzie elity polityczne prowadzą politykę zagraniczną bez gejzerów emocji. Chińscy liderzy nie komentują w internecie komentarzy innych liderów. Mają swych komentatorów albo urzędników niższych rang.

Politykę zagraniczną robi się teraz w Chinach bez emocji, używając tradycyjnych symbolicznych zwrotów, niedopowiedzeń, polubownych formułek. Rzadko już straszy się wrogów słownie. Skuteczniej blokuje się korzystne dla nich transakcje, porozumienia. Politycy chińscy potrafią łączyć pojęcia uchodzące w Europie za fundamentalnie sprzeczne. Gospodarkę wolnorynkową z finansową aktywnością instytucji państwowych. Modernizację społeczeństwa, odwołując się do tysiącletnich tradycji. Nadawanie chińskiego charakteru zachodniej kulturze. Powszechną modernizację społeczeństwa robi się tam bez powszechnej, automatycznej westernizacji. Wszystkie takie mariaże udają się, bo Chińczycy są mistrzami strategicznej cierpliwości. Pracują systematycznie, bez szarż, długodystansowo.

Polscy politycy swoje działania planują na czteroletni cykl wyborczy. Dalej ich orli wzrok nie sięga. Unia Europejska też nie radzi sobie, bo weszła w cykl chronicznego poszukiwania utraconych reform.

A Chińczycy rozpisują swe działania na kolejne pięcioletnie plany rozwoju. Aby cierpliwie, cierpliwie wrócić na „należne im miejsce". Pierwszej gospodarki na świecie.

PIOTR GADZINOWSKI

Ilustr. PAWEŁ FERENC

jakoby Stephen zmarł albo stracił oboje oczu. „Mówcie głośno, mówcie wyraźnie: uchodźcy nie są tu mile widziani"; „Wkroczcie zbrojnie do ośrodków IPAS (centrów dla azylantów) i usuńcie wszystkich nielegalnych imigrantów z tej wyspy" – zaapelował w swoich social mediach Conor McGregor, były mistrz UFC, któremu przez chwilę śniła się irlandzka prezydentura. „Tylko ten człowiek może ocalić Irlandię" – napisał na X Dominik Tarczyński i wrzucił wideo z prawicowym gangusem.

Nie ma w tym określeniu ani grama przesady.

Atletyczny stosunek prawdziwego Irlandczyka

UFC to mieszane sztuki walki MMA. Dzięki podwójnemu mistrzostwu McGregor w 2021 r. był najlepiej opłacaną gwiazdą sportu na świecie. W międzyczasie skrupulatnie budował katalog zatargów z prawem: od obnażania się i próby napaści seksualnej na Korsyce przez spuszczenie wpierdolu starszemu mężczyźnie w irlandzkim pubie po brutalny gwałt na kobiecie. W listopadzie 2024 r. dublińska ława przysięgłych w procesie cywilnym uznała McGregora winnym napaści seksualnej i gwałtu na Nikicie Hand i nakazała mu zapłatę blisko 250 tys. euro odszkodowania. W lipcu 2025 r. irlandzki sąd apelacyjny oddalił jego odwołanie od wyroku. Trudno się dziwić. Ginekolog i biegły medycyny sądowej zeznał, że po chrześcijańskich amorach McGregora musiał użyć specjalistycznych kleszczyków chirurgicznych, aby usunąć tampon zaklinowany w samym szczycie pochwy kobiety. Ponadto lekarze i ratownicy medyczni potwierdzili, że jej ciało było pokryte licznymi, nietypowo rozległymi sińcami, co potwierdzało wersję ofiary o duszeniu i walce o życie. Obrona McGregora próbowała argumentować, że stosunek odbył się za obopólną zgodą i miał charakter „atletyczny"…

Być może Tarczyński przymknął oko na to małe procesowe potknięcie, bo McGregor – podobnie jak Robinson – próbuje budować polityczne przyjaźnie za oceanem. Irlandzki prawicowy celebryta dotarł dalej niż Robinson, bo spotkał się z samym Donaldem Trumpem w Białym Domu w Dzień Świętego Patryka w marcu 2025 r., gdzie opowiadał, że Irlandia traci swoją tożsamość przez imigrację. Kilka dni po spotkaniu z głową USA McGregor ogłosił, że wystartuje w wyborach prezydenckich. Przez parę miesięcy nie zdołał jednak zebrać wymaganych nominacji i wycofał się w ostatniej chwili, nim doszło do formalnej kompromitacji. Widocznie Dominik znad Wisły wierzy bardziej w Conora z Irlandii niż sam Conor w siebie.

Przez całą Irlandię – brytyjską i niepodległą – przetoczyła się fala masowych manifestacji antyfaszystowskich i antyrasistowskich pod hasłem „Razem Przeciw Nienawiści". Była to bezpośrednia, zorganizowana odpowiedź obywateli oraz związków zawodowych na brutalne antyimigranckie zamieszki. Pytanie: jak długo oni i inne społeczności będą odporni na algorytm zaprojektowany po to, żeby nakręcać rasistowską strunę? Conor McGregor na samym Instagramie ma blisko 47 mln obserwujących. Antyprzemocowe marsze w mediach nastrojonych na prawicową modłę gigantów technologicznych przejdą niezauważone. I nie jest to dobra wiadomość.

LUCYNA MIKOŁAJCZAK

eprasa.pl 471020cdc7

Finanse (nie)kontrolowane

Durszlak transparetności wydatków publicznych

Z początkiem lipca wystartował Centralny Rejestr Umów (CRU). Niech jednak porzuci wszelką nadzieję ten, kto myśli, że teraz będzie mógł swobodnie grzebać w finansach publicznych.

Centralny Rejestr Umów Jednostek Sektora Finansów Publicznych – bo tak brzmi pełna nazwa – to otwarta baza, w której każdy obywatel będzie mógł sprawdzić, na co ministerstwa, urzędy i inne instytucje publiczne wydają kasę. Narzędzie ma pomóc zwiększyć przejrzystość finansów publicznych i ułatwić obywatelom kontrolę nad wydatkowaniem pieniędzy bez konieczności składania wniosków o dostęp do informacji publicznej.

Rys. MIROSŁAW HAJNOS

Pomysł na CRU zrodził się z postulatów organizacji społecznych i ekspertów zajmujących się jawnością finansów publicznych. Inspiracją były rozwiązania z innych krajów, gdzie centralne rejestry kontraktów znacząco zwiększyły transparentność i obniżyły koszty zamówień publicznych.

Dla przykładu na Słowacji w pierwszym roku działania podobnego mechanizmu dzięki redukcji marnotrawstwa i wykorzenieniu korupcji koszty zamówień spadły średnio o ok. 30 proc. (w niektórych sektorach nawet 50 proc.).

Wyszukiwarka dla dociekliwych obywateli jest prowadzona przez Ministerstwo Finansów. Urzędy, samorządy, szkoły, szpitale itp. mają obowiązek raportować w systemie podstawowe informacje o zawieranych przez nie umowach cywilnoprawnych. Chodzi o strony umowy, jej przedmiot, wartość, datę zawarcia oraz informację o źródłach finansowania. Dzięki temu obywatel może sprawdzić, ile szkoła zabuliła za katering dla uczniów albo poznać wartość zakupu nowych dywanów do urzędu dzielnicy. Organizacje społeczne mocno walczyły o brak progu kwotowego, argumentując, że limit pozwoliłby ukryć większość drobnych umów samorządowych i osłabił kontrolę obywatelską. Ostatecznie sejm przyklepał wersję senatu i rejestr obejmie wszystkie umowy, niezależnie od wartości. Do tego momentu wszystko wygląda nawet zgrabnie. Diabeł jak zwykle tkwi w szczegółach.

Z obowiązku rejestracji w CRU JSFP wyłączone są konkretne kategorie podmiotów, typy dokumentów i rodzaje umów. Ze względu na bezpieczeństwo i specyfikę zgodnie z przepisami w bazie nie publikuje się umów zawieranych przez służby specjalne, antykorupcyjne i podległe ministrowi obrony narodowej. Na mocy umowy o finansach publicznych przepisy o CRU nie mają zastosowania także w szeroko pojętych strukturach reprezentujących Polskę poza jej granicami. Do rejestru wpisuje się wyłącznie umowy odpłatne o charakterze zamówienia publicznego – mowa o dostawach, usługach czy np. robotach budowlanych. Wskutek tego nie można sobie pogrzebać w umowach o pracę, subwencjach i przyznawanych dotacjach.

Najlepszy numer polega na tym, że danych nie wprowadzają też instytucje, które nie tworzą sektora finansów publicznych, nawet jeśli należą do państwa, samorządu lub dysponują publiczną forsą. Pod ten paragraf łapią się organizacje pozarządowe, państwowe banki, instytuty badawcze i co najważniejsze – spółki prawa handlowego, w tym spółki komunalne np. transportowe, SIM-y, TBS-y, lokalne zakłady wodociągowe, ciepłownicze oraz szpitale działające w formie spółek kapitałowych. A to tam przepływa największa gotówka. Resort finansów poszedł najprostszą drogą, ograniczył zakres do istniejącej definicji sektora finansów publicznych, aby łatwiej wdrożyć system i uniknąć wkurwu środowisk samorządowych. Przy okazji zmontował wytrych dla tych bardziej kreatywnych.

Brak CRU dla spółek oznacza, że setki milionów wydatków publicznych pozostaną w szarej strefie jawności. Krótko mówiąc, system jest transparentny dla tradycyjnych jednostek budżetowych, ale traci siłę tam, gdzie powinien wzbudzać szczególną czujność. Dla samych spółek to szereg wygód: mniejsze obciążenie administracyjne (bo nie muszą się gimnastykować z procedurą raportowania), solidnie ograniczona presja medialna i obywatelska na bieżące decyzje, a co za tym idzie – większa swoboda w szeroko pojętych meandrach prowadzenia działalności gospodarczej. Obywatele, radni i media mają znacznie utrudniony dostęp do szczegółów, bo zamiast z prostej wyszukiwarki muszą korzystać z wniosków o informację publiczną, grzebać w KRS, sprawozdaniach finansowych albo biuletynach informacji publicznej.

Brak automatycznej centralnej kontroli społecznej tworzy cieplarniane warunki dla przepychania kasy między spółkami a gminą, kręcenia lodów na wynagrodzeniach zarządu, sponsoringu klubów sportowych itp. Nie wspominając o zawyżaniu cen z „zaprzyjaźnionymi" kontrahentami.

Doskonałym przykładem, który wyłuszcza problem z brakiem społecznego nadzoru nad administracyjną wieżą Babel jest przykład osławionego w ostatnim czasie Szpitala Południowego w Warszawie. Po aferze z wyjętymi z zakamarków okrężnicy fakturami lekarza Dawida Kacprzyka rząd z resortem zdrowia na czele błyskawicznie zapowiedział weryfikację lekarskich zarobków. Wszystko w ramach walki z nadużyciami finansowymi i obsadzaniem stołków przez znajomych królika. Cóż z tego? Wspomniana placówka, podobnie jak 150 innych szpitali samorządowych, jest spółką prawa handlowego. Oznacza to tyle, że kontrakty cywilnoprawne personelu medycznego zatrudnionego w klasycznych szpitalach publicznych będą jawne, a identyczne umowy personelu oraz zarządów w szpitalach funkcjonujących w formie spółek kapitałowych pozostaną utajnione pod osłoną tajemnicy handlowej. Wiele szpitali celowo skomercjalizowano, aby uciec od sztywnych procedur budżetowych. Oficjalna wersja głosi, że intencją ustawodawcy przy tworzeniu CRU było, aby te spółki rządziły się prawami rynkowymi. Niestety, argument o „tajemnicy przedsiębiorstwa" i „konkurencyjności rynkowej", którym zasłaniają się politycy znad Wisły, w wielu krajach został już dawno wysadzony w powietrze. Słowacy, Czesi czy Brytyjczycy uważają, że jeśli podmiot jest finansowany przez podatników lub kontrolowany przez władzę, nie może ukrywać wydatków. W Polsce system pełen luk zabezpieczy interesy tych, którzy najgłośniej krzyczą o transparentności.

IDALIA DUBICKA

Mój znakomity kolega redakcyjny Tadeusz Jasiński w artykule „Abonament afektywny dwubiegunowy" („NIE", nr 25/2026) stwierdza, że od wielu lat media publiczne otrzymują dodatkowo wielomiliardowe rekompensaty z budżetu państwa. Czyli formalnie abonament RTV istnieje po to, aby finansować media publiczne, ale faktycznie ich funkcjonowanie zależy głównie od transferów budżetowych. Tadeusz słusznie ubolewa nad tym faktem, pochylając się z troską nad podatnikami, którzy z tych mediów nie korzystają, nie chcą korzystać i – mówiąc językiem bardziej precyzyjnym niż parlamentarny – mają je w dupie.

Perfekcyjnie logiczny wywód Tadeusza ma jednak, w moim przekonaniu, pewną istotną wadę. Wadę tkwiącą nie w logice, lecz w założeniu. Nie sądzę, aby red. Jasiński uległ urokowi świadomie utrwalanej od lat manipulacji językiem, polegającej na pozornie niewinnym zastąpieniu w świadomości społecznej słowa „rządowe" słowem „publiczne". Nie. Jego krytyka finansowania z abonamentu mediów zwanych publicznymi jest głęboko słuszna. Kolega zapewne, tak jak ja, dostrzega nonsens utrzymywania za nasze pieniądze propagandowych urządzeń do dmuchania w tubę każdej aktualnej władzy.

Państwowe nie znaczy publiczne

Trudno jednak pominąć rzeczywistość, która streszcza się w jednym zdaniu: media publiczne w Polsce nie istnieją. Zatem trudno zakładać ich likwidację. Co więcej, nigdy ich w naszym kraju nie było. Były media państwowe, partyjne, rządowe, okołorządowe, wyborcze i powyborcze. Były telewizje i radia przejmowane jak gabinet, limuzyna, sekretariat i fotel prezesa. Były instytucje, które po każdej zmianie władzy odkrywały nagle, że misja publiczna ma twarz nowego ministra, nowego premiera albo nowego prezesa partii. I takimi nadal są.

One zawsze były mediami rządu, nie „populi". Władze tych mediów powoływali decydenci państwowi i polityczni, a zadania określała im praktyka władzy, nie interes obywateli. Trudno przecież zaprzeczyć, że nie tylko za PRL, ale także potem aż do dziś, media zwane publicznymi były przez polityków kontrolowane, obsadzane, tresowane, karane, nagradzane i finansowane decyzjami podejmowanymi z dala od obywateli, choć z ich pieniędzy.

Nowrocky nowym Bondem?

Odsłaniamy kulisy nowego „zamachu"

Oficjalna decyzja w sprawie obsady roli nowego Jamesa Bonda jeszcze nie zapadła. Ale uważam, że nie powinien nim zostać faworyt bukmacherów Callum Turner ani też znacznie niżej notowani Harris Dickinson czy Jacob Elordi. Po ujawnieniu szokującego „zamachu" z 15 maja 2025 r., którego ofiarą – dzięki Bogu, nie śmiertelną! – był Karol Nawrocki, obstawiamy, że nasz (mówiąc po północnokoreańsku) Ukochany Przywódca powinien być nowym agentem 007. Poddajemy nasz pomysł TV Republice i wPolsce24 za darmo, my też kochamy Polskę i chcemy ją rozsławić na świecie.

Szokujący news pojawił się dzięki ujawnieniu fragmentów wywiadu rzeki z Nawrockim autorstwa prof. Andrzeja Nowaka, który lada dzień trafi na rynek, rzecz jasna, tylko do najlepszych księgarni. Prezydent ujawnił „moment grozy" w trakcie spotkania 15 maja 2025 r. z wyborcami w Ząbkowicach Śląskich na Dolnym Śląsku.

Kandydat Nawrocki poczuł, że dzieje się z nim coś bardzo złego. Poprosił o wodę i zaprowadzenie do autokaru. Chłop jak dąb stracił przytomność, potem zarzygał garnitur i cały autokar. Oddajmy mu głos: „Mówili, że wyglądało to jak fontanna, porównywali to do filmu »Egzorcysta« – kopałem nogami, rzucało mną, kompulsywnie wymiotowałem. A gdy się obudziłem, to nie wiedziałem, co się wydarzyło przez te kilka minut".

Dobrze, że w okolicy nie było żadnego katolickiego egzorcysty, bo a nuż – pamiętając o jego barwnej przeszłości – uznałby, że faktycznie Belzebub go opętał po latach łamania różnych bożych wskazówek.

Niczym wytrawny detektyw, Nawrocki przypomniał sobie o ostrzeżeniach ochrony w trakcie kampanii, napominającej choćby, aby nie całował kobiet w rękę w czasie spotkań z wyborcami, bo może być to próba jego otrucia. Zaiste, pomysł rodem z serii filmów z Bondem. I wydaje mi się, że może być coś na rzeczy. Przypuszczam, że jakaś

siepaczka Tuska – pewnie niemiecko-rosyjska lesbijka wyznania muzułmańskiego – nasmarowała swoje delikatne dłonie (ale my już dziś wiemy, że to były w gruncie rzeczy brudne łapska!) jakimś trującym świństwem, które miało zabić naszego herosa.

Nie udało się, bo chłop ciągle jakieś saszetki do ust wciąga, podobno z nikotyną, więc jakaś nieudolnie podana na dłoni trucizna mu niestraszna.

Zwykły człowiek już by wąchał kwiatki od spodu, lecz Nowrocky, kolejny w naszych dziejach człowiek z żelaza, zwymiotował diabelską mikstu-

Ilustr. KRZYSZTOF OLEJNIK

rę, otrzepał się i poszedł dalej po zwycięstwo. To świadczy dobitnie, że jest on niezniszczalny niczym legendarny agent Jej Królewskiej Mości.

Powiecie, że Nawrocki nie jest aktorem. I grubo się pomylicie. Ten człowiek idealnie grał „kandydata obywatelskiego", a teraz z wdziękiem godnym Seana Connery'ego w najlepszych latach gra męża stanu.

Sekta smoleńska to już nie jest ta sama sekta co parę lat temu. Antek jakiś niemrawy, Prezes na miesięcznicach – już bez ochrony policji – też nie wypada szczególnie przekonywająco. Po micie „zamordowanego" prezydenta Lecha Kaczyńskiego, czas na coś zupełnie nowego, nową metodę utrwalenia poparcia elektoratu, który będzie twardy jak młot i – dodają złośliwi – zakręcony jak sierp. Przy czym także w przypadku ludu pisowskiego mamy do czynienia z postępem. 16 lat temu zamordowali ich prezydenta, a rok temu tylko próbowali tego.

Nie ulega wątpliwości dla wszystkich fanów i fanek Bonda, że nikczemne siły wcielonego zła – Tusk to taki nasz rodzimy Doktor No! – nie poprzestaną na jednej nieudanej próbie zamordowania Nawrockiego. Jak znam Stevena Knighta – scenarzystę nowego filmu z legendarnym agentem 007 – który zawsze działa z niepospolitym rozmachem, może on podpowiedzieć ochronie prezydenta Rzeczypospolitej, jakie zasadzki mogą jeszcze na niego przygotować wrogowie. Zatruty snus, nadpiłowana sztanga, dron wlatujący w pałac prezydencki, że wspomnę o najbardziej oczywistych pomysłach.

Najpierw był Smoleńsk, potem Ząbkowice Śląskie. Ufam, że gdyby jednak Nawrocki nie dostał roli nowego Bonda, to TVP – kiedy wrócą do niej pisowcy, na co solidnie pracuje KO – nakręci film o ząbkowickim zamachu, wszak „Smoleńsk" to film poniekąd kultowy…

Zaiste, rację miał Karol Marks, pisząc we wstępie do „18 brumaire'a Ludwika Bonaparte": „Hegel powiada gdzieś, że wszystkie wielkie historyczne fakty i postacie powtarzają się, rzec można, dwukrotnie. Zapomniał dodać: za pierwszym razem jako tragedia, za drugim jako farsa".

KAT

eprasa.pl 471020cdc7

Zdobądźmy media publiczne

Dla ludzi, którzy za nie płacą

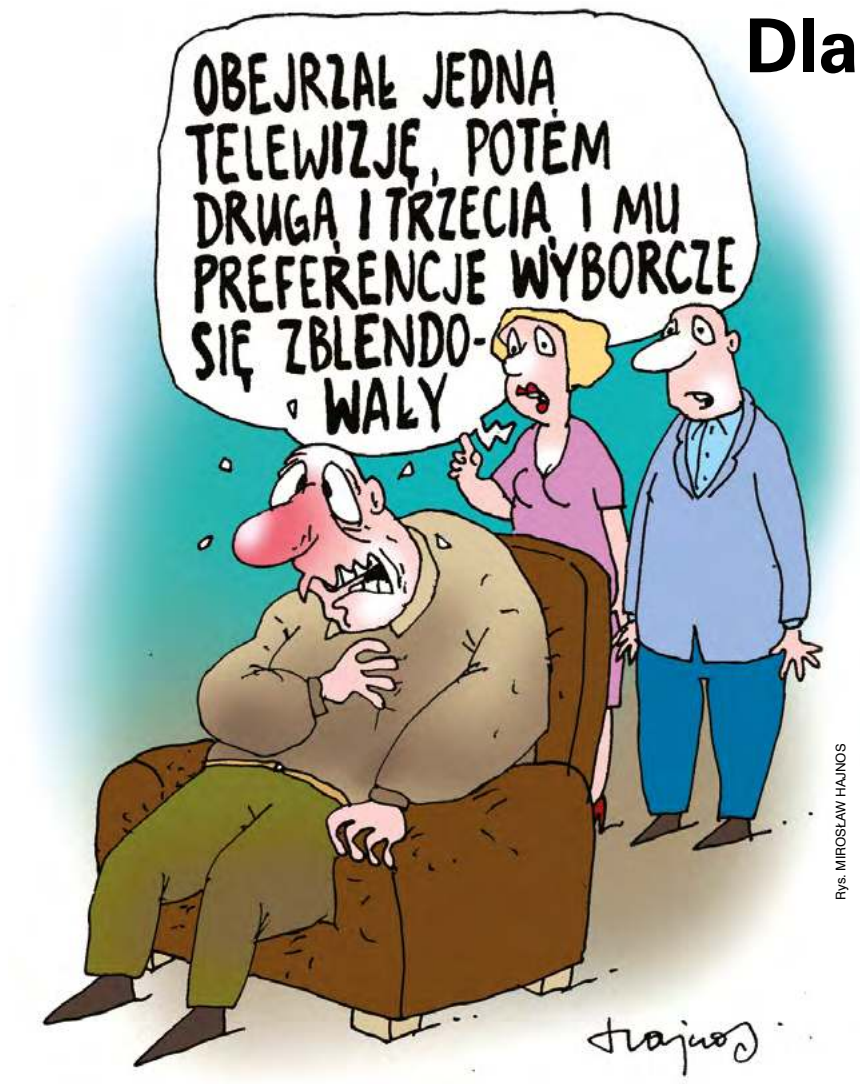

Rys. MIROSŁAW HAJNOS

Dlatego sama odpowiedź: „zlikwidować abonament" albo „nie finansować tego cyrku", jest kusząca, lecz niewystarczająca. Bo co nam zostanie? Jeśli mówimy o TVP jako o dawnym folwarku propagandy, to człowiek ma ochotę powiedzieć: „spierdalać". Ale jeżeli mówimy o mediach naprawdę publicznych, idei, której w Polsce nikt nie widział, sprawa wygląda inaczej. Takie media warto finansować. I to właśnie z pieniędzy publicznych, czyli z pieniędzy ich prawdziwych właścicieli.

Dziś, w czasach informatycznej rewolucji, mogłabym sparafrazować słynne słowa Jerzego Urbana postulatywnie: niech rząd się sam promuje. Nie za publiczne pieniądze. Rząd też człowiek – musi mieć gdzie się wygadać. Ale przecież nie cierpi na brak takich możliwości. Z mądrymi słowami zapraszamy do „NIE". Z głupimi – jeśli brakuje lepszych – zresztą też damy radę, byle były własne i podpisane. Państwo nie musi mieć propagandowej tuby. Państwo powinno mieć instytucję publicznej informacji, debaty, kultury, edukacji i kontroli władzy. To zasadnicza różnica. Tuba dmucha w jedną stronę. Medium publiczne powinno robić przeciwnie: wpuszczać świeże powietrze do zamkniętego pokoju.

Nie oddadzą kontroli

Brak takich mediów w czasach ogólnej napierdalanki aż boli. Trwa kognitywna wojna wszystkich ze wszystkimi. Big techy okupują umysły skuteczniej niż dawne komitety centralne, bo nie muszą nawet niczego zakazywać. Wystarczy, że podsuną nam to, co nas rozzłości, ogłupi, podzieli i zatrzyma na ekranie o cztery minuty dłużej. Prywatne telewizje i portale mają swoich właścicieli, reklamodawców, interesy, linie polityczne, kredyty, ambicje i zaprzyjaźnione telefony. Gazety udają czasem sumienie narodu, a czasem dział PR własnego właściciela. Media społecznościowe sprzedają wzburzenie w paczkach po tysiąc kliknięć. Zwykły człowiek już nie wie, kto kłamie, kiedy kłamie i czy kłamie bardziej ten, kto wrzeszczy, czy ten, kto mówi spokojnym głosem eksperta od wszystkiego albo kłamie, przemilczając prawdę.

Właśnie dlatego potrzebujemy mediów publicznych. Nie takich, które „równoważą" jedną propagandę drugą propagandą. Nie takich, które po wyborach wymieniają twarze w studiu i dalej robią to samo, tylko w przeciwnym kierunku. Potrzebujemy mediów, które mają ustawowy obowiązek służyć publiczności, a nie władzy; obywatelom, a nie partiom; prawu do informacji i różnorodnych opinii, a nie prawu prezesa do właścicielskiej premii i dobrego samopoczucia.

Da się to zrobić. Nie przez apel do polityków, żeby łaskawie sami odpiłowali gałąź, na której siedzą. Nadzieja, że koń zwróci się do woźnicy z prośbą: „Hej, strzel mnie z bata", jest niewielka. Politycy nie oddadzą kontroli nad mediami z dobroci serca. Można ich do tego tylko zmusić presją społeczną, która zmieni prawo, instytucjami, które będą pod kontrolą publiczną, i takim systemem, w którym zawłaszczenie mediów staje się trudne, kosztowne i widoczne.

Po 1990 r. wielokrotnie proponowano stworzenie bezstronnych, pluralistycznych, finansowanych publicznie mediów odpornych na partie i duży kapitał. To nie są mrzonki kilku naiwnych profesorów zamkniętych w pokoju bez internetu. Istnieją poważne projekty. Najpełniejszy to „Media obywatelskie" – projekt środowiska Jana Dworaka. Ważnym obywatelskim źródłem zasad jest Obywatelski Pakt na rzecz Mediów Publicznych. Aktualny kontekst prawny tworzy Europejski Akt o Wolności Mediów i prace nad jego wdrożeniem. Organizacje społeczne zgłaszają do tych prac sensowne uwagi: o przejrzystości własności mediów, kontroli ich koncentracji, zasadach zamieszczania reklamy państwowych spółek, tzw. mediach samorządowych, ochronie dziennikarzy i niezależności redakcyjnej. To wszystko istnieje. Można się z tym zapoznać. Można przestać udawać, że alternatywą dla partyjnej telewizji jest wyłącznie brak telewizji publicznej. Alternatywą może być publiczny drukowany dziennik, publiczne medium internetowe, radio. To kosztuje. Ale czy nie mniej niż społeczny skutek ich braku?

Twarde zabezpieczenia

Prawdziwe media publiczne musiałyby mieć kilka twardych zabezpieczeń. Po pierwsze, ich władz nie mogłaby wybierać aktualna większość sejmowa. Potrzebne są rady powiernicze, jawne konkursy, publiczne wysłuchania kandydatów, udział organizacji społecznych, twórczych, dziennikarskich, akademickich i obywatelskich. Nie idealnych świętych, bo takich nie ma, ale ludzi wybieranych w procedurze trudniejszej do politycznego ustawienia niż obecne partyjne tasowanie nazwisk. Są dostępne na przykład sensowne projekty procedur ustalania stanowiska, oparte o deliberację losowo lub częściowo losowo wybieranych grup obywateli – panele obywatelskie.

Po drugie, finansowanie musi być stabilne i automatyczne. Może to być fundusz misji publicznej, opłata audiowizualna, ustawowy algorytm, stały parametr powiązany z budżetem albo PKB. Model jest do dyskusji. Zasada (nie do dyskusji): pieniądze na media publiczne nie mogą być smyczą w ręku rządu.

Po trzecie, zarządy mediów. Potrzebne są statuty redakcyjne, silni redaktorzy naczelni, kodeksy etyki, procedury skargowe, ochrona dziennikarzy przed represjami i obowiązek publicznego rozliczania się z jakości. Media publiczne mają prawo się mylić. Nie mają prawa systemowo łgać. Nie mają też prawa systemowo lub politycznie milczeć. Milczenie to obecnie główna forma cenzury.

Po czwarte, trzeba ograniczyć wpływ prywatno-właścicielski na cały rynek medialny. Będzie źle, jeśli lokalna informacja będzie zależeć od burmistrza, reklamy państwowych spółek będą nagrodą za lizusostwo, a wielki właściciel będzie mógł kupić gazetę, portal, radio i jeszcze sumienie kilku komentatorów w pakiecie. Publiczna debata nie może być zakładnikiem ani partii, ani kapitału. Jedni chcą rządzić naszym głosem. Drudzy chcą na nim zarobić i wprowadzać swoją ideologię. Obywatel w obu modelach zostaje sprowadzony do roli widza, klienta, wyborcy albo automatu klikającego.

Prawdziwie publiczne media byłyby jedną z najlepszych inwestycji publicznych. Lepszą niż kolejna kampania promocyjna rządu, kolejna willa plus, kolejny billboard.

Dobre media publiczne to szkoła krytycznego myślenia, archiwum pamięci, mapa państwa, ochrona mniejszości, kultura poza polityczną poprawnością, informacja lokalna, debata bez piany na pysku i kontrola każdej władzy – także tej, na którą głosowaliśmy z zatkanym nosem i resztką nadziei.

Nie chodzi więc o to, żeby bronić dzisiejszych mediów zwanych kłamliwie publicznymi, bo nie ma czego bronić. Chodzi o to, żeby wreszcie je zdobyć. Nie dla partii. Nie dla rządu. Nie dla właścicieli. Nie dla reklamodawców. Dla ludzi, którzy za to wszystko płacą i którym od lat sprzedaje się propagandę, chaos albo rozrywkę w przebraniu informacji.

Publiczne nie znaczy rządowe. Publiczne znaczy nasze. A skoro nasze, to przestańmy prosić kolejnych woźniców, żeby bili nas łagodniej. Zabierzmy im bat.

ANNA GRODZKA

Wakacyjna przygoda

Władzio daje satysfakcję

Rozkręca się trzecia edycja ministerialnego projektu, który kusi łatwymi pieniędzmi potencjalne mięso armatnie w wieku od 18 do 35 lat. Pierwsze szkolenie trwa od 8 czerwca, ale chętni do pobawienia się w wojsko mają jeszcze do wyboru dwa turnusy między 13 lipca a 12 września.

„Każdy turnus obejmie intensywne szkolenie podstawowe, podczas którego uczestnicy poznają podstawy taktyki wojskowej, nauczą się strzelania, zasad przetrwania w terenie, walki wręcz oraz obsługi wybranego sprzętu wojskowego. Program został przygotowany w sposób nowoczesny i praktyczny – tak, aby poza wiedzą i umiejętnościami dawał również satysfakcję, poczucie sprawczości oraz możliwość działania w zespole" – czytamy na stronie resortu obrony. I tylko półgębkiem i mimochodem kreśli się tam plan, który w założeniu służy powolnemu i systematycznemu budowaniu niezwyciężonej 300-tysięcznej armii w środku Europy: „»Wakacje z wojskiem«" to nie tylko okazja do przeżycia wyjątkowej przygody i zdobycia nowych doświadczeń, ale również możliwość poznania realiów służby wojskowej od środka. Dla wielu uczestników może to być pierwszy krok do dalszego związania swojej przyszłości z Wojskiem Polskim – zarówno w ramach aktywnej rezerwy, Wojsk Obrony Terytorialnej, jak i zawodowej służby wojskowej".

Żeby pokusa zostania pionkiem w grach wojennych kolektywnego Zachodu stała się nie do odparcia, polski resort obrony wakacyjnemu żołnierzykowi lub żołnierce płaci około 6 tys. zł brutto oraz oferuje na czas szkolenia darmowy wikt i opierunek. Nieźle.

W ministerstwie nie pracują debile, więc pewnie rozumieją, że z masy chętnych do pobawienia się w wojnę tylko niewielki procent poczuje miętę do munduru i zaciągnie się w przyszłości do armii, gdyż na teraz większość interesuje wyłącznie łatwa i przyjemna kaska na koncie. Ale problem dla wakacyjnych kursantów pojawi się wówczas, gdy wojna – oczywiście z Rosją lub Białorusią, bo przecież nigdy przenigdy np. z Ukrainą czy Niemcami – stanie się faktem. Wtedy mobilny odpowiednik ukraińskiego TCK w postaci Żandarmerii Wojskowej zapuka nagle w okienko byłego kursanta i przypomni mu, że ojczyzna wzywa, a on lub ona potrafi przecież sprawnie kłuć bagnetem i udawać krzak albo drzewo przed atakiem bojowego drona.

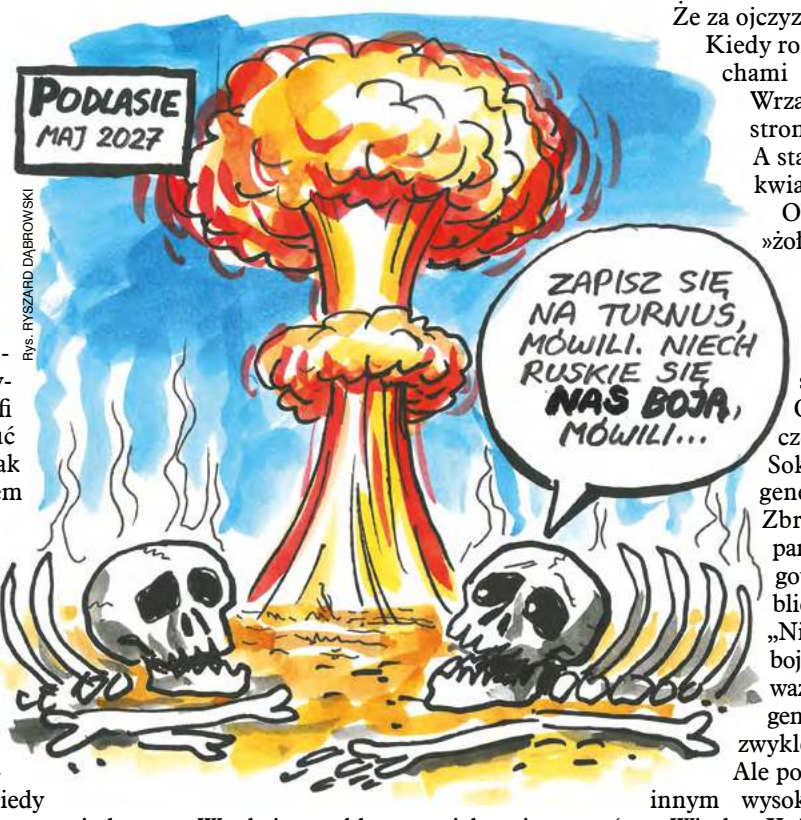

Rys. RYSZARD DĄBROWSKI

Dlatego warto przed wakacyjną przygodą w armii bardzo dokładnie przeczytać umowę, jaką podsuną wam pod nos w wojskowych centrach rekrutacji. Jeśli znajdą się w niej zapisy małymi literkami, bądźcie czujni jak w banku, kiedy prosicie o kredyt. Żeby potem nie beczeć w okopie i nie wołać mamusi na pomoc. W tej bowiem zabawie w wojnę krew będzie prawdziwa, a dzieci najważniejszych polityków będą się z was śmiać, chroniąc swoje dupy w żelbetonowych schronach. I czytajcie wiersz Tuwima „Do prostego człowieka":

„Gdy znów do murów klajstrem świeżym
Przylepiać zaczną obwieszczenia,
Gdy »do ludności«, »do żołnierzy«
Na alarm czarny druk uderzy
I byle drab, i byle szczeniak
W odwieczne kłamstwo ich uwierzy,
Że trzeba iść i z armat walić,
Mordować, grabić, truć i palić;
Gdy zaczną na tysięczną modłę
Ojczyznę szarpać deklinacją
I łudzić kolorowym godłem,
I judzić »historyczną racją«,
O piędzi, chwale i rubieży,
O ojcach, dziadach i sztandarach,
O bohaterach i ofiarach;
Gdy wyjdzie biskup, pastor, rabin
Pobłogosławić twój karabin,
Bo mu sam Pan Bóg szepnął
z nieba,
Że za ojczyznę – bić się trzeba;
Kiedy rozścierwi się, rozchami
Wrzask liter pierwszych stron dzienników,
A stado dzikich bab – kwiatami
Obrzucać zacznie »żołnierzyków«"…

• • •

Na ostatnich Warszawskich Targach Obronnych (19–20 czerwca) gen. Marek Sokołowski, dowódca generalny rodzajów Sił Zbrojnych RP, podczas panelu „Czy jesteśmy gotowi?" ku radości publiczności rzucił frazą: „Niech Ruskie się nas boją". Ten jeden z najważniejszych polskich generałów dotychczas zwykle miarkował słowa. Ale pozazdrościł jak widać innym wysokim rangą trepom (gen. Wiesław Kukuła) i brnie w słowną dezynwolturę wobec nuklearnego mocarstwa.

Wpływowy rosyjski politolog Siergiej Karaganow, który w swoich wypowiedziach od miesięcy nie wyklucza użycia przez Federację Rosyjską taktycznej broni jądrowej wobec państw Zachodu, ma tym samym kolejny powód do satysfakcji. Sokołowskiemu bowiem marzy się wojenka, w której Sokołowski też może nagle wyparować.

JMP

eprasa.pl 471020cdc7

Hipokryzja polskich producentów rolnych zaczyna już być żenująca

Zdrowe, bo nasze

Od lat każdy kolejny minister rolnictwa i wszystkie organizacje producentów żywności wciskają nam, że polska żywność jest najlepsza, najzdrowsza i najbardziej ekologiczna. A pomiędzy Bugiem a Odrą rozciąga się gigantyczny ogród botaniczny, po którym spacerują szczęśliwe krowy, nieznające antybiotyków kurczaki i rosną truskawki dojrzewające wyłącznie dzięki promieniom słońca i śpiewowi ptaków.

Ilustr. PAWEŁ FERENC

Truskawkowe pole do popisu

Bo jeśli istnieje jakiś symbol polskiej niewinności rolniczej, to jest to właśnie truskawka. Wszak co roku słyszymy, że jest ona czymś jakościowo innym od wszystkiego, co rośnie poza granicami Rzeczypospolitej. Aż tu duńska agencja ds. żywności przebadała 47 próbek pochodzących z różnych państw, m.in. z Polski, Niemiec, Holandii, Belgii, Hiszpanii, Maroka i Chin. W 21 wykryto od trzech do dziewięciu różnych pestycydów. Część badanych truskawek ze środkami ochrony roślin pochodziła z Polski.

Fundacja Pro-Test kupiła truskawki od rolnika handlującego w Warszawie oraz truskawki z bazarku i wysłała je do specjalistycznego laboratorium. Przebadano owoce pod kątem obecności ponad 540 różnych substancji ochrony roślin. W truskawkach od rolnika znaleziono pięć różnych pestycydów. W owocach z bazarku wykryto ich sześć. Oczywiście wszystkie normy zostały zachowane. Boskalid występował w truskawkach od rolnika na poziomie 0,061 mg/kg, podczas gdy dopuszczalny limit wynosi 6 mg/kg. W próbkach z bazarku było go 0,044 mg/kg. Kaptan osiągnął poziom 0,22 mg/kg w owocach od rolnika i 0,038 mg/kg w tych z targowiska przy limicie wynoszącym 1,5 mg/kg. Azoksystrobina pojawiła się w ilości 0,044 mg/kg przy dopuszczalnym poziomie aż 10 mg/kg. Pirymetanil osiągnął 0,40 mg/kg wobec limitu 5 mg/kg. Równie ciekawe okazało się porównanie tych wyników z badaniem truskawek kupionych w sieciach handlowych. W Lidlu znaleziono trzy pestycydy, w Biedronce siedem. Wyszło, że podział na dobrą żywność od rolnika i złą żywność z marketu nie ma większego sensu, bo wszystkie owoce wyrosły na polskiej ziemi.

Gdy się słucha polskich polityków, można by dojść do wniosku, że problem pestycydów dotyczy wyłącznie zagranicy. Tymczasem Polska należy do największych producentów owoców miękkich w Europie. Roczne zbiory truskawek wynoszą zwykle 150–180 tys. ton. W najlepszych latach zajmowaliśmy drugie lub trzecie miejsce w całej Unii. Oznacza to produkcję prowadzoną na dziesiątkach tysięcy hektarów oraz funkcjonowanie rynku wartego miliardy złotych.

Ekonomia zaś jest bezlitosna. Truskawka ma być duża, czerwona, jędrna i wytrzymać transport przez setki kilometrów, a potem przetrwać w magazynie i na sklepowej półce. Konsument oczekuje produktu idealnego, producent musi więc zrobić, co się da, by mu taki produkt sprezentować.

Właśnie dlatego nasz przeciętny sadownik czy plantator zna nazwy fungicydów lepiej niż przeciętny obywatel nazwiska wicepremierów. Nie dlatego, że chce truć, ale stąd, że bez ochrony chemicznej jego plony byłyby znacznie mniejsze, a część produkcji nie nadawałaby się do sprzedaży.

Miodowe lata

„Wielki Test Miodu" przeprowadzono na zlecenie Greenpeace'u. Przebadano 48 próbek miodu pochodzących ze wszystkich 16 województw. Były to miody pochodzące z rodzinnych pasiek. W każdym województwie pobrano po trzy próbki: miód gryczany, rzepakowy oraz wielokwiatowy. 31 próbek zawierało pestycydy.

Najgorzej wypadł miód rzepakowy. Pestycydy wykryto w 87,5 proc. próbek. Co gorsza, w połowie badanych miodów rzepakowych stwierdzono przekroczenie obowiązujących norm. Niewiele lepiej prezentował się miód wielokwiatowy. Tutaj pozostałości środków ochrony roślin znaleziono w 81,25 proc. próbek. W 12,5 proc. przypadków doszło również do przekroczenia dopuszczalnych norm. Jedynie miód gryczany obronił się przed chemicznym najazdem. Pozostałości pestycydów wykryto w mniej niż jednej trzeciej próbek, a żaden z wyników nie wskazał przekroczenia norm.

W badanych próbkach wykryto acetamipryd, tiachlopryd, azoksystrobinę, boskalid, fluopyram, kaptan, piraklostrobinę, karbendazymę, amitrazę oraz tetrahydroftalimid.

Acetamipryd podpadł Europejskiemu Urzędowi ds. Bezpieczeństwa Żywności już w 2013 r. ze względu na oddziaływanie tej substancji na rozwijający się układ nerwowy. Chodziło między innymi o procesy związane z uczeniem się oraz pamięcią. Dlatego Komisja Europejska w 2025 r. drastycznie obniżyła dopuszczalne limity tej substancji.

Ciekawsza jest też historia tiachloprydu. Produkty zawierające tę substancję miały zostać wycofane z rynku do sierpnia 2020 r. A to dlatego, że naukowcy wskazywali możliwość uszkadzania przez substancję funkcji poznawczych, zaburzeń pracy wątroby oraz negatywnego wpływu na rozwijający się płód.

Azoksystrobina jest z kolei fungicydem stosowanym między innymi przy uprawach zbóż, ziemniaków i rzepaku. Według WHO prowadzi do zaburzeń metabolicznych i jest bardzo toksyczna dla organizmów wodnych.

W 2023 r. zarejestrowanych było w naszym kraju 2643 środków ochrony roślin zawierających 301 substancji czynnych. Od 2005 r. liczba dopuszczonych preparatów wzrosła ponad dwukrotnie. Równie imponująco wygląda wzrost sprzedaży pestycydów. W porównaniu z końcem lat 80. zwiększyła się ona czterokrotnie.

Nie jest jednak tak, że polska żywność jest wyjątkowo niebezpieczna, tylko że opowieści o wyjątkowo ekologicznym charakterze polskiego rolnictwa nie wytrzymują konfrontacji z faktami.

Kraj niewidomych kontrolerów

Aktywiści wmówili ludziom, że zwykłe jedzenie jest podejrzane. Następnie przekonano ich, że zdrowie można kupić za dużo wyższą cenę, niż kosztuje normalne żarcie. Na końcu zaś wymyślono cały system certyfikatów, znaczków, zielonych listków i oznaczeń, dzięki którym ekoklient miał poczuć się kimś lepszym od sąsiada kupującego zwykłą marchewkę.

Fundacja Pro-Test posłała dziewięć produktów oznaczonych jako ekologiczne do laboratorium Instytutu Ogrodnictwa w Skierniewicach. Były to rzeczy kupione normalnie, w sklepach, w kwietniu – w czterech wykryto pestycydy.

Najciekawszy okazał się przypadek produktu o nazwie Biominki, gdzie w rodzynkach znaleziono chloropiryfos – pestycyd wycofany z użycia w Unii Europejskiej między innymi ze względu na jego wpływ na rozwijający się układ nerwowy dzieci. Nazwa herbatki „Bomba witaminowa" firmy Dary Natury sugeruje eksplozję odporności i innych cudownych właściwości. Tymczasem w produkcie oznaczonym jako ekologiczny wykryto boskalid, pirymetanil, tebukonazol i acetamipryd.

Wedle obowiązującego mitu żyjemy w kraju, w którym nad każdą kromką chleba, każdym kawałkiem mięsa i każdą szklanką mleka pochyla się armia państwowych strażników. Mamy wszak sanepid, Inspekcję Weterynaryjną, Inspekcję Jakości Handlowej Artykułów Rolno-Spożywczych czy Inspekcję Handlową. Ale między opowieścią o państwowej trosce a tym, co rzeczywiście trafia na nasze stoły, zieje przepaść. Widać to po historii z Gostynia.

Przez cztery lata w jednym z największych zakładów mleczarskich do mleka dolewano wodę, fałszowano dokumentację, manipulowano wskazaniami liczników, a w cysternach znajdowano specjalnie przerobione zawory. Śledczy wyliczyli milionowe przekręty.

Oskarżono 79 osób, a proces odbywał się nie w sądzie, lecz w sali kinowej.

Rzecz nie w oszustwie jednak, ale tym, że przez lata nie wykryła go żadna z instytucji, które podobno mają pilnować jakości żywności. I to nie pierwszy taki przypadek. W 2024 r. IJHARS nałożyła rekordową karę w wysokości 1,5 mln zł za wprowadzenie do obrotu 3882 ton rzepaku technicznego jako konsumpcyjnego oraz 7670 ton pszenicy paszowej sprzedawanej jako pszenica konsumpcyjna – całe pociągi żywności, które zdążyły przejechać przez system kontroli, zanim ktokolwiek zauważył, że coś jest nie tak.

W grudniu 2025 r. podczas kontroli 46 sklepów jednej z największych sieci handlowych wykryto niemiecką wieprzowinę oznaczoną jako „Produkt polski". Kilka miesięcy wcześniej media opisywały sytuacje, w których zagraniczne mięso z Belgii, Holandii czy Niemiec zyskiwało nową narodowość. Jeszcze bardziej kuriozalnie wyglądały informacje o pomidorach sprowadzanych z Afryki Północnej, które po przekroczeniu granicy nagle stawały się pomidorami polskimi.

Była też sprawa spółki Berg & Schmidt Polska, gdzie według śledczych do produkcji dodatków paszowych wykorzystywano tłuszcze techniczne. Firma upadła w 2024 r., ale nikt nie odpowiedział na pytanie, ilu urzędników przez lata tego nie zauważało.

Najważniejsze, że bajka o państwie, które troskliwie pochyla się nad talerzem obywatela, oraz o polskich rolnikach, którzy produkują najzdrowsze jedzenie na świecie, pozostaje niezmienna od lat.

TADEUSZ JASIŃSKI

WIEŚCI GMINNE i INNE

▮ W Szpitalu Południowym w Warszawie odkryto sfałszowane akty zgonów. Ktoś w prosektorium, bawiąc się pieczątką koordynatora, wysłał na tamten świat 20 obywateli, którzy wciąż bezczelnie oddychają. Czyli akty zgonów są, a zgonów nie ma. Prokurator Piotr Skiba, który prowadzi sprawę żyjących nieboszczyków, ma nie lada orzech do zgryzienia: jak doprowadzić tych ludzi do stanu zgodnego z dokumentacją? Przecież nie może być tak, że obywatel samowolnie żyje, choć państwo ma ten temat zupełnie inne zdanie.

▮ Komenda w Iławie została rzucona na kolana przez paczkę, której nikt nie zamawiał. Gdy policjanci zabrali się za jej patroszenie, doszło do „gwałtownego rozszczelnienia". Nieznana substancja raniła funkcjonariusza w twarz. Wybuchła panika godna inwazji z kosmosu: ewakuacja, straż pożarna, jednostki chemiczne i pirotechnicy. Po wielogodzinnych badaniach policja ogłosiła sukces: to nie była chemia, biologia ani radiacja. Czyli co?! Skoro wykluczono wszystko, co materialne, a policjant oberwał, w Iławie musiał nastąpić pierwszy w historii kontakt z antymaterią.

▮ Varso Tower – najwyższy wieżowiec w Unii Europejskiej (stoi w Warszawie, a wybudowany został przez jakiegoś Słowaka) – najwyraźniej uznał, że czas na małą defoliację. O trzeciej nad ranem z wysokości runęła szyba, zamieniając trzy zaparkowane auta przy ul. Chmielnej w pognieciony złom. To recydywa. We wrześniu celowali z Varso Tower szybą w ogródek kawiarniany, a teraz w blachę. Skoro do trzech razy sztuka, to następna szklana gilotyna może już szukać konkretnej głowy. Zatem idąc w okolicach Dworca Centralnego, warto patrzeć w niebo, a najlepiej – jeśli życie wam miłe – omijajcie ten szklany palec szerokim łukiem.

▮ 43-letni kierowca z gminy Kołbiel udowodnił, że polskie prawo jest równie skuteczne jak modlitwa o deszcz. Miał sześć dożywotnich zakazów prowadzenia aut. Sześć. To już nie jest wyrok, to hobby. Zatrzymano go podczas akcji „Trzeźwość" z wynikiem 1,5 promila. Widać uznał, że przy takiej liczbie zakazów trzeźwość byłaby zwyczajnym nietaktem wobec wymiaru sprawiedliwości. Poza zakazami sądowymi miał też cofnięte uprawnienia przez starostę. Krótko mówiąc: jedyną rzeczą, która łączyła go z przepisami ruchu drogowego, był fakt, że fizycznie zajmował miejsce na jezdni. Trafił na miesiąc do aresztu.

▮ W Bardzie w powiecie ząbkowickim 52-latek zabił Toyotą ojca i dziewięcioletniego syna. Tradycyjnie „nic nie pamiętał", co w polskim prawie jest uznawane za dowód niewinności lub przynajmniej dobrego smaku. Po wypadku sprawca trafił do szpitala w Polanicy Zdroju, gdzie uznano go za zdrowego i wypisano do domu. Ten jednak chyba nie był zdrowy, ponieważ zmarł. Teraz rodzina sprawcy skarży lekarzy o błąd w sztuce. Polski ideał sprawiedliwości: morderca unika więzienia przez zgon, a bliscy jeszcze liczą na odszkodowanie od NFZ. Kostucha okazała się szybsza od prokuratora.

▮ Na warszawskiej Białołęce policja znów wykazała się taką skutecznością, że pacjent zmarł z nadmiaru troski. 37-latek z ul. Przejezdnej, zamiast dać się spacyfikować podczas domowej awantury: użył gazu, wyskoczył oknem i zabarykadował się w garażu. Finał był do przewidzenia. Podczas „czynności obezwładniających" nieszczęśnik stracił przytomność, a kilka godzin później także życie. Dwóch funkcjonariuszy odniosło „obrażenia". Sprawę bada prokuratura i policyjny pion kontrolny, czyli wyspecjalizowana komórka do spraw sprawdzania, czy dywan jest wystarczająco duży, by zmieścić pod nim kolejnego trupa.

▮ Łódź staje się miastem prawdziwie światowym. 22-letni Kolumbijczyk uznał, że łódzki kantor to lepsze miejsce na szybki zarobek niż plantacja kawy. Sprawca sterroryzował pracownicę pistoletem gazowym. Bardzo humanitarnie – chciał pieniędzy, a nie dziur w personelu. Wyniósł ponad 204 tys. zł. Złapano go w hotelu w Piotrkowie Trybunalskim. Miał przy sobie większość łupu. Przyznał się, ale milczy jak zaklęty. Sąd wlepił mu areszt, a prokurator obiecuje do 15 lat wakacji na koszt polskiego podatnika. Wniosek? Importowany bandytyzm cierpi na tę samą chorobę co rodzimy: nadmiar brawury przy deficycie inteligencji. No i ten Piotrków... to już doprawdy szczyt dekadencji.

▮ Sąd w Cieszynie skazał Damiana D. za otrucie dwóch psów rasy leonberger. Mężczyzna usłyszał karę roku więzienia w zawieszeniu na dwa lata, zakaz posiadania zwierząt oraz obowiązek zapłaty nawiązki. Do zdarzenia doszło po tym, jak w październiku 2025 r. dwa psy goniły jadącego hulajnogą chłopca, który wpadł do potoku. Według ustaleń sądu Damian D. podrzucił psom trutkę na ślimaki. Jeden pies padł, drugi przeżył z porażeniem tylnych kończyn. Oskarżony nie przyznał się do winy. Kluczowym dowodem w sprawie było nagranie z monitoringu, które – zdaniem sądu – potwierdziło celowe działanie sprawcy. Na szczęście wyrok jest nieprawomocny i sprawą zajmie się jeszcze sąd drugiej instancji. Bo jednak trudno uwierzyć, że ktoś chcący otruć psy sięga po trutkę na ślimaki. Psy truje się przecież trutką na szczury.

▮ Wielkopolskie szpitale to fabryki milionerów. 31 lekarzy wyciągnęło w rok ponad milion złotych, a rekordziści ponad dwa. W Kaliszu takich krezusów jest 12. System działa wzorowo: lekarze kontraktowcy

eprasa.pl 471020cdc7

Stołeczne widmo Miszalskiego

Warszawa aktywistów Trzaskowskiego oraz Warszawa mieszkańców – dwa różne miasta

Ilustr. PAWEŁ FERENC

Stolica liczy ok. 2,5 mln mieszkańców. To największy organizm miejski w Polsce. Tymczasem władze stolicy traktują go, jakby był kampusem akademickim dla miejskich aktywistów: dla ludzi, którzy poruszają się wyłącznie rowerem, mieszkają pięć minut od pracy i nie muszą dowozić dzieci, robić zakupów ani szukać miejsca parkingowego.

Warszawiacy mają czego żałować, bo Rafał Trzaskowski, nie zostawszy prezydentem Polski, pozostał prezydentem Warszawy. To zaś zaczyna być dla mieszkańców zdarzeniem administracyjnie przykrzejszym. Bo skoro człowiek przez pół kampanii tłumaczył krajowi, jak naprawi państwo, Europę, demokrację, konstytucję, szkołę, klimat i bezpieczeństwo światowe, to obywatel ma prawo zakładać, że pod jego bokiem działa urząd zdolny przynajmniej postawić znak, nie wkurzając przy tym połowy osiedla.

Władza ma zawsze rację

Tymczasem na Zaciszu urzędnicza myśl miejska odkryła strefę Tempo 30, co tak po ludzku oznaczało, że mieszkańcy ul. Karminowej dowiedzieli się, iż nie będą mieli gdzie parkować, a ruch zostanie przepchnięty w boczne, wąskie uliczki. Najzabawniejsze, że mieszkańcy Zacisza nie sprzeciwiali się ograniczeniu prędkości do 30 km/h. Powiedzieli tylko, że Tempo 30 to nie tylko znaki, bo razem ze znakami przyszły zakazy parkowania przed posesjami i człowiek mieszkający we własnym domu nagle ma szukać miejsca na auto jak turysta przyjeżdżający w sobotę na Starówkę.

Miejscowi wskazywali, że prawdziwe problemy są na czterech konkretnych skrzyżowaniach. Ale urząd, jak to urząd, musiał ująć problem po swojemu. I kiedy jedna z mieszkanek zapytała urzędnika, gdzie ma parkować po zmianach, ten wyciągnął mapę i wskazał miejsce obok koszy na śmiecie. „Przecież tutaj ma pani miejsce” – usłyszała. Tyle że miejsce miało niecały metr szerokości.

Na Zaciszu pojawiła się też kwestia przystanku, który według mieszkańców miałby zostać przeniesiony tuż za skrzyżowanie, co grozi korkami. Jest parking kliniki, przyjeżdżają osoby chore, niepełnosprawne, karetki. Jest miejski rurociąg, który według mieszkańców regularnie wymaga napraw. Jest pytanie, jak dojedzie karetka albo straż pożarna, gdy ulica będzie jednokierunkowa. I jest odpowiedź urzędu: „Przygotujemy pismo i państwa uwagi przekażemy do Biura Zarządzania Ruchem Drogowym”.

Wielowątek

Na Grochowie z kolei ratusz odkrył, że zieleń trzeba chronić, ale na cudzym. Parafia Najczystszego Serca Maryi przy Pl. Szembeka ma niezabudowaną działkę u zbiegu ulic Chłopickiego i Osowskiej. Proboszcz planuje tam budynek w kształcie litery U, w którym mogłyby znaleźć się muzeum, hospicjum lub dom pomocy społecznej, kawiarnia i centrum spotkań seniorów. Miasto zaś wskazało parafialny teren jako przestrzeń publiczną z dominującą funkcją zieleni. Może dlatego, że pobliski Pl. Szembeka został zgodnie z decyzjami tych samych urzędników niemal w całości wybetonowany? Do urzędu wpłynęło blisko tysiąc pism. Projekt uchwały zdjęto z porządku obrad Rady Miasta niemal jednogłośnie.

Na Siekierkach miasto poszło jeszcze dalej, bo tam mieszkańcy nie muszą się martwić, że urząd chce im coś zaplanować, gdyż urząd już im część działek zabrał. W 2024 r. utracili fragmenty nieruchomości pod rozbudowę ul. Bluszczańskiej. Wszystko w trybie ZRID, czyli zezwolenia na realizację inwestycji drogowej, które umożliwia nie tylko rozpoczęcie inwestycji, ale także automatyczne przejęcie przez państwo albo samorząd nieruchomości potrzebnych do drogi. Problem w tym, że po odebraniu ludziom własności wypadałoby im jeszcze zapłacić, tymczasem ludzie nie znali ani wysokości odszkodowań, ani terminów wypłat.

Problem dotyczy kilkudziesięciu właścicieli działek. Urząd wyjaśnia, że analizuje księgi wieczyste, ewidencję gruntów i budynków, dokumenty planistyczne oraz ograniczone prawa rzeczowe, a sprawy są „wielowątkowe” i wymagają „wnikliwej analizy”. Kiedy obywatel ma posprzątać i oddać teren, sprawa jest jednowątkowa, kiedy zaś miasto ma zapłacić – robi się wielowątkowa.

Miejski wódopój

Mieszkańcy ul. Kruczej protestują, bo nie chcą pod oknami kolejnej taniej imprezowni, czyli miejsca, które na wizualizacjach wygląda jak połączenie Barcelony, Kopenhagi i folderu deweloperskiego, a skończy się wódopojem dla turystów. Co w mieście mającym prohibicję od 22.00 do 6.00 zabawne nie jest.

Na dodatek rzecz dotyczy ulicy, której układ urbanistyczny właśnie wpisano do rejestru zabytków. Decyzję wydał Mazowiecki Wojewódzki Konserwator Zabytków. Uznał, że mamy do czynienia z wyjątkową realizacją urbanistyczną w skali stolicy. Państwo polskie stwierdziło zatem, że Krucza jest zabytkiem. Ale niemal w tym samym czasie warszawski ratusz ogłosił przetarg na jej przebudowę.

Według informacji przywoływanych przez przeciwników inwestycji aż 81,2 proc. mieszkańców Kruczej poparło działania zmierzające do objęcia ulicy ochroną konserwatorską. W normalnym świecie taki wynik oznaczałby, że polityk zaczyna główkować. W warszawskim magistracie oznacza to zaś konieczność przyśpieszenia prac projektowych.

Historia zaczęła się w grudniu 2019 r., gdy Trzaskowski ogłaszał projekt Nowego Centrum Warszawy. Potem pojawiły się wizualizacje, konferencje, prezentacje, grafiki z ludźmi spacerującymi w idealnym słońcu po idealnie pustych ulicach. Znając polityków, można było liczyć na to, że rzecz rozpłynie się jak inne obietnice. Krucza miała wszak być warszawską La Ramblą. Potem urzędnicy wycofali się z tego porównania i jęto wspominać o niemieckim Wiesbaden. Później nawet Wiesbaden przestało być modne. W rezultacie po pięciu latach projektowania stolica nadal nie wie do końca, czym Krucza ma być. Wiadomo jedynie, że ma być zieleńsza, bardziej spacerowa, przyjaźniejsza i nowocześniejsza. To ostatnie słowo w Warszawie oznacza zazwyczaj, że zniknąć mają samochody, kierowcy mają przepraszać za swoje istnienie, a mieszkańcy – cieszyć się z kolejnych donic.

Według ostatnich koncepcji na Kruczej ma pojawić się park linearny – nic nieznacząca, ale mądrze brzmiąca nazwa to wszak podstawa marketingu – plac miejski przed dawnym Hotelem Grand, fontanny, nowa mała architektura, stojaki rowerowe, zbiorniki wodne oraz 274 drzewa. Jednak ludzie nie mieszkają na wizualizacjach, lecz w mieście. Ono zaś składa się nie tylko z drzew, ale z dojazdu do domu, parkowania, dostaw, komunikacji, bezpieczeństwa i zwykłej codzienności.

Zresztą Krucza nie jest pierwsza. W ramach Nowego Centrum Warszawy przebudowano już Plac Pięciu Rogów, okolice Chmielnej i Brackiej, powstał Plac Centralny, uruchamiane są kolejne naziemne przejścia dla pieszych, przerabiana jest Marszałkowska, projektowane są nowe przejścia przez Aleje Jerozolimskie. Sam ratusz chwali się, że to proces konsekwentnie realizowany od lat.

Tyle że przeciwko tym wydumanym rewitalizacjom protestują nie politycy i nie kierowcy z podwarszawskich miejscowości, lecz mieszkańcy centrum, którzy stanowią naturalne zaplecze wyborcze obecnej władzy miejskiej. To oni mówią o Placu Pięciu Rogów – miejscu przedstawianym jako modelowy sukces urbanistyczny – że może to dobre dla aktywistów i ratusza, bo dla nich oznacza jedynie więcej ogródków gastronomicznych, imprez, hałasu i tłumów.

Zamiast spokojniejszego miejsca do życia mają pod oknami centrum rozpasanej konsumpcji. To dlatego podczas protestów wokół Kruczej pada określenie „tania imprezownia” – to język ludzi, którzy próbują zasnąć o pierwszej w nocy.

Krakowianie z Miszalskim poszli do referendum i faceta odwołali. Warszawa jest większa, bardziej zapatrzona w siebie i bardziej przekonana, że jak coś robi pod szyldem europejskości, to obywatel powinien jeszcze podziękować. Tymczasem ludzi szlag trafia i nie tyle z powodu rozstawiania swojaków na posadkach w Szpitalu Południowym, ile z powodu dziesiątków genialnych pomysłów aktywistów i urzędników na uszczęśliwianie ludzi wbrew ich woli, ale za to zgodnie z wydumanymi nader poprawnymi politycznie trendami.

TOMASZ BOROWIECKI

Rys. MIROSŁAW HAJNOS

licytują się o stawki, a szpitale płacą im z pieniędzy, których nie mają. Efekt? Szpital w Kaliszu ma 40 mln zł długu. Żeby było zabawniej, te miliony to nie wirtualne cyfry, ale realnie niewypłacone pensje dla pielęgniarek. Mamy więc nowoczesny feudalizm: pan doktor inkasuje fortunę za zaglądanie do gardła, a siostra oddziałowa pracuje na chwałę resortu za darmo. Władza nazywa to konkurencją płacową, a ja nazywam to zwykłym skurwysyństwem pod osłoną stetoskopu.

▮ Google Poland w 2025 r. wykręciło 1,84 mld zł przychodu i 166,2 mln zł zysku, rzucając państwu na odczepnego 39,2 mln zł podatku. To ledwie 2 proc. przychodu – stawka godna żebraka, nie giganta. Na 2348 pracowników sypnęli 1,17 mld zł, co daje średnio 40 900 zł miesięcznie na głowę od sprzątaczki po dewelopera oprogramowania. Tylko w niektórych szpitalach tyle nie płacą, ale tam się ratuje życie, a w Google – klika w reklamy. Gdzie jest policja skarbowa? Pewnie znów bohatersko tropi krewetki w pizzy, bo przy miliardach Google'a dostaje nagłego ataku ślepoty. To nie bilans, to bezczelna kpina z państwa, które potrafi dojechać tylko tych, co nie mają na prawników.

▮ W maju rejestracje aut elektrycznych w Polsce spadły o blisko 30 proc., choć cały rynek nowych wozów spuchł o ponad 6 proc. Udział elektryków to marne 4 proc. Reszta to hybrydy, czyli auta dla tych, którzy chcą być nowocześni, ale boją się, że im prądu w połowie drogi do kochanki zabraknie. Powód zapaści jest jasny: skończyły się dopłaty. Okazało się, że polska miłość do ekologii trwa dokładnie tyle, ile sponsoring z cudzej kieszeni. Mechanizm był piękny i sprawiedliwy: zabrać wszystkim w podatkach, by dołożyć bogatemu do Tesli. Gdy kurek z publicznym groszem zakręcono, zielone sumienia Polaków natychmiast wyparowały.

▮ Kancelaria Karola Nawrockiego postanowiła przesiąść swoje ministerialne tyłki z plebejskich Škód do arystokratycznych Audi A6. Dwa miliony złotych za wynajem ośmiu sztuk to cena skromna, wręcz promocyjna. Początkowo marzyły się urzędnikom Mercedesy – wiadomo, gwiazda na masce najlepiej komponuje się z krzyżem w klapie – ale centralny przetarg zdechł, zanim zdążył zaiskrzyć. Europoseł Dariusz Joński, uprawiając coś, co nazwałbym segregacją pośladkową, oburza się, że luksus klasy premium należy się tylko najważniejszym organom państwa, a nie ich przystawkom. Według Jońskiego istnieje widocznie hierarchia zadków: te najwyższe zasługują na skórę i masaże, te niższe powinny zadowolić się skajem i brakiem wspomagania.

▮ Telefony i aparaty fotograficzne to najczęściej pozostawiane przedmioty w taksówkach Ubera – ok. 30 proc. Na kolejnych miejscach są plecaki i torby (18,6 proc.), słuchawki (13,8 proc.), klucze (12,7 proc.) oraz portfele i torebki (9,4 proc.). Zaskakuje wysoka liczba zagubionych paszportów, które odpowiadają za 4,5 proc. zgłoszeń. Wśród najbardziej nietypowych zgub znalazły się odkurzacz przemysłowy, wózek inwalidzki, tort, pojedynczy damski pantofel oraz nóż wczesnośredniowieczny. Najwięcej pasażerowie zostawiają o godz. 23.00, a najbardziej „zgubnym” dniem tygodnia jest sobota. Najwięcej zgłoszeń pochodzi z Warszawy. Jednak po przeliczeniu na liczbę przejazdów nieoficjalną stolicą zapominalstwa okazało się Zakopane – z wynikiem 0,83 zgłoszenia na 1000 kursów. Trudno oprzeć się wrażeniu, że tak wyraźna przewaga późnych godzin i weekendów może mieć związek z zakrapianymi spotkaniami towarzyskimi.

▮ W Zakopanem góralska gościnność doczekała się aktualizacji cennika. Od grudnia 2025 r. przyjezdni płacą za parkowanie nawet w niedziele i święta, bo strzyżenie turystów to pod Giewontem sport uprawiany bez przerwy na modlitwę. Dla miejscowych przygotowano „pomarańczowe koperty” pod ZUS-em i sądem. 120 minut darmowego postoju, żeby mogli bez pośpiechu załatwić rentę lub kolejny wyrok o miedzę. Kto pomyli kopertę, płaci 300 zł frycowego. To uroczy komunikat dla gości: przywoźcie dudki, zostawiajcie auta w rowie i nie przeszkadzajcie tubylcom.

RJ

PS Powyższe informacje pochodzą z mediów lokalnych i nie zostały zweryfikowane przez redakcję. Mogą odbiegać od prawdy, dlatego zaleca się ich odbiór z ostrożnością właściwą osobom doświadczonym życiowo. Redakcja nie ponosi odpowiedzialności za ich zgodność ze stanem faktycznym.

eprasa.pl 471020cdc7

Życie w dobrobycie

Czymże jest dobrobyt, jeśli nie umiejętnością wyciągnięcia z tabelki dokładnie tego, co akurat chcemy w niej zobaczyć? Weźmy choćby dane o biedzie. Według Eurostatu w Polsce zagrożonych ubóstwem lub wykluczeniem społecznym jest około 15 proc. społeczeństwa. W Niemczech natomiast aż 21,2 proc. Wypadałoby więc ogłosić natychmiastowe zamknięcie granicy na Odrze i rozpoczęcie akcji humanitarnej dla mieszkańców Republiki Federalnej. U nas zagrożonych biedą jest około 5,4 mln osób, a u nich aż 17,5 mln. Tyle że niemiecki próg ubóstwa wynosi około 2700 euro brutto miesięcznie, czyli mniej więcej 11,5 tys. zł. W Polsce granica biedy przebiega natomiast w okolicach 4,7 tys. zł brutto miesięcznie. Oznacza to, że człowiek uznawany w Niemczech za zagrożonego ubóstwem, w Polsce mógłby spokojnie uchodzić za przedstawiciela klasy średniej wyższej, a w niektórych miejscowościach wręcz za lokalnego oligarchę. Jeszcze ciekawiej robi się przy konsumpcji. Eurostat wymyślił wskaźnik zwany rzeczywistą konsumpcją indywidualną, który ma pokazywać, ile ludzie faktycznie konsumują po uwzględnieniu różnic cenowych pomiędzy krajami. I tutaj też wychodzi, że Polska przestała być gospodarczą prowincją Europy. Wyprzedziliśmy Portugalię, zostawiliśmy za sobą Rumunię, Litwę, a także Grecję. Coraz bliżej nam do Hiszpanii. Jeszcze lepiej wygląda sprawa z dochodami liczonymi według siły nabywczej. Przez wiele lat słyszeliśmy, że Polska jest krajem taniej siły roboczej. Tymczasem dzisiaj okazuje się, że dystans do zachodniej Europy systematycznie maleje. Portugalia jest już na wyciągnięcie ręki, Hiszpania coraz bliżej, a państwa bałkańskie dawno zostały za nami. Nie mniej interesujące są warunki mieszkaniowe. Tu również słyszymy, że Zachód ma więcej metrów kwadratowych na mieszkańca. To prawda. Ale można na to spojrzeć inaczej. Mniejsza powierzchnia oznacza przecież mniejsze rachunki za ogrzewanie, krótszy czas sprzątania oraz większą bliskość rodziny. Gdyby odpowiednio opisać tę sytuację w unijnych raportach, mogłoby się okazać, że Polska jest europejskim liderem efektywnego wykorzystania przestrzeni mieszkalnej. Więc jeśli ktoś nadal uważa, że żyje mu się ciężko, to zamiast patrzeć na własny portfel, powinien spojrzeć na odpowiednio dobrane wykresy.

Nigdzie indziej w Europie liczba miliarderów nie rośnie szybciej niż w Polsce – zauważył szwedzki dziennik „Svenska Dagbladet", komentując raport Knight Frank. Według prognoz liczba polskich miliarderów ma wzrosnąć w ciągu pięciu lat o 123 proc. – z 13 do 29. Szybciej bogacą się tylko saudyjscy krezusi, których liczba ma wzrosnąć o 183 proc. Za nami zostają takie państwa jak Szwecja, gdzie przyrost ma wynieść 81 proc. W Polsce rekordy sprzedaży biją samochody kosztujące tyle, ile przeciętne osiedle bloków w powiatowym mieście. Szwedzi patrzą na nas z podziwem. Niesłusznie. Historia pokazuje bowiem, że rewolucje bardzo rzadko wybuchają wtedy, gdy wszyscy są biedni. Pojawiają się wtedy, gdy jedni bogacą się w tempie rakietowym, a drudzy mają poczucie, że zostali na peronie. A kiedy ludzi przekona się, że system działa wyłącznie dla wybranych, wystarczy iskra. W rządzie zasiada Lewica opowiadająca o sprawiedliwości społecznej, wyrównywaniu szans i ochronie pracowników. Tymczasem według danych przywoływanych przez lewicowy wszak resort pracy, w pierwszych miesiącach roku liczba zgłaszanych zwolnień grupowych rosła lawinowo. A politycy dyskutują o skracaniu tygodnia pracy. Dla kogo? Bo człowiek otrzymujący wypowiedzenie niespecjalnie przejmuje się tym, czy będzie pracował cztery dni w tygodniu, lecz czy za cztery miesiące będzie miał za co kupić dzieciom buty.

„Nigdy wcześniej nie było gorzej" – napisały portale ekonomiczne, gdy wyszło, że na koniec maja zadłużenie skarbu państwa wyniosło 2 bln 135 mld zł. W samym maju dług wzrósł o 46,8 mld zł. Dla porównania roczny koszt programu 800 plus wynosi około 65 mld. Od końca maja zeszłego roku zadłużenie wzrosło o 363 mld zł. Nigdy wcześniej roczny przyrost długu nie był większy. Poprzedni rekord wynosił 360 mld zł i został ustanowiony ledwie kilka miesięcy wcześniej. Jeszcze ciekawiej robi się, gdy porównamy tempo przyrostu długu z tempem wzrostu gospodarki. Zadłużenie zwiększa się bowiem obecnie o 20,1 proc. rok do roku. Tymczasem PKB urósł w pierwszym kwartale o 6,4 proc. Dług rośnie więc ponad trzykrotnie szybciej niż gospodarka, która ma go kiedyś spłacić. Największy wkład w budowanie tego nowoczesnego dobrobytu ma zadłużenie krajowe. W maju wzrosło ono o 49,8 mld zł i osiągnęło poziom 1,7 bln zł. W ciągu roku przybyło go aż 319 mld. Dług zagraniczny zmniejszył się wprawdzie o 3 mld zł, ale wyłącznie dlatego, że umocnił się złoty. W skali roku i tak urósł o około 40 mld zł. Zwolennicy rządowej polityki powiedzą oczywiście, że nie ma się czym przejmować, ale od stycznia do maja koszt obsługi zadłużenia wyniósł 31,6 mld zł. To 9,3 proc. wszystkich wydatków państwa oraz 13,6 proc. dochodów budżetowych. W tej sytuacji szczególnie wzruszające są opowieści o miliardach z KPO, które miały być cudownym lekarstwem na wszystkie gospodarcze bolączki i sprawić, że Polska zacznie rozwijać się niczym gospodarki azjatyckich tygrysów. Wygląda więc na to, że budujemy dobrobyt według nowej szkoły ekonomii: dawniej sądzono, że bogactwo bierze się z produkcji, oszczędności i inwestowania własnych środków. Dziś najwyraźniej bierze się z emisji kolejnych obligacji.

Od lat opowiadano Polakom o milionie brakujących mieszkań. Jedni twierdzili, że brakuje ich milion, inni że półtora miliona, jeszcze inni, że dwóch milionów. Liczby rosły szybciej niż ceny lokali. Tymczasem na koniec kwietnia w Polsce było już około 16,2 mln mieszkań. Przy populacji wynoszącej 37 mln ludzi daje to około 435 mieszkań na każde 1000 mieszkańców. Innymi słowy jedno mieszkanie przypada dziś statystycznie na 2,3 osoby. Jeszcze w 2015 r. było to zaledwie 360 mieszkań na 1000 mieszkańców, czyli jedno mieszkanie na 2,8 osoby. W ciągu dekady Polska wykonała więc gigantyczny skok. W Australii wskaźnik

Ilustr. KRZYSZTOF OLEJNIK

wynosi 424 mieszkania. W USA 425. W Wielkiej Brytanii około 426. W Irlandii 411. W Słowacji 414. W Słowenii 406. A w budowie znajduje się około 852,5 tys. mieszkań. Jeżeli wszystkie zostaną ukończone, Polska osiągnie wskaźnik około 461 mieszkań na 1000 mieszkańców. Dokładnie tyle samo, ile obecnie mają Holendrzy. Naturalnie są kraje mające mieszkań jeszcze więcej, ale to państwa żyjące z turystyki i wynajmu wakacyjnego. Trudno zatem porównywać Polskę do kraju, w którym połowa Europy spędza urlop. Niemniej nawet na tle bogatych państw Zachodu sytuacja wygląda całkiem przyzwoicie. Niemcy mają około 516 mieszkań na 1000 mieszkańców, Francja – 559, Austria – 560, Finlandia – 554, Belgia – 486, Norwegia – 488, Dania – 484. Nie jesteśmy więc już żadnym mieszkaniowym skansenem. Tyle że triumfalne otwieranie szampana byłoby równie głupie jak wcześniejsze straszenie katastrofalną luką mieszkaniową. Bo choć mieszkań przybyło, to mamy całe pokolenie 30-latków mieszkających z rodzicami. Oni mieszkania mogą sobie pooglądać w formie wizualizacji zza szyb placówki dewelopera. Bo mieszkań może i już nie brakuje. W przeciwieństwie do szans na pieniądze na ich zakup czy wynajęcie.

Miliarderzy, podobnie jak lekarze i narzekający na drugi próg podatkowy nauczyciele, są oczkiem w głowie każdej władzy w Polsce. To z myślą o tych pierwszych wymyślono fundacje rodzinne. Miały służyć ochronie rodzinnych firm i majątków przed rozdrobnieniem przy dziedziczeniu, narzędziem, dzięki któremu przedsiębiorca budujący przez całe życie biznes nie będzie musiał patrzeć, jak po jego śmierci wszystko rozpada się na kawałki. Ministerstwo Rozwoju i Technologii zrobiło przegląd funkcjonowania fundacji rodzinnych. I wyszło mu, że działa ich 3017. Wykazały one niemal 25 mld zł przychodów zwolnionych z opodatkowania. Pracownik zatrudniony na etacie nie powie fiskusowi, że jego wynagrodzenie będzie przez kilka lat zwolnione z podatku, bo akurat chce chronić rodzinny majątek. Emeryt nie oznajmi urzędowi skarbowemu, że jego świadczenie pozostanie nieopodatkowane do czasu wypłaty odpowiednim beneficjentom. Prowadzący mały sklep spożywczy także nie ma prawa zgromadzić kilkunastu milionów złotych zysków i stwierdzić, że podatek zapłaci kiedyś tam. Natomiast fundacje rodzinne tak właśnie mają. Ministerstwo wyliczyło, że sama korzyść podatkowa wynikająca z obowiązujących preferencji mogła sięgnąć około 2,9 mld zł. To kwota większa od rocznych budżetów wielu polskich miast. W efekcie resort przygotował aż 24 propozycje zmian. Są to propozycje, analizy, konsultacje, czyli wszystko to, co państwo lubi najbardziej wtedy, gdy trzeba udawać, że się coś robi.

TTJ

Bankster ma to do siebie, że jak daje komuś zarobić, to sam zarabia na tym dużo więcej.

Mogłoby się wydawać, że bank jest instytucją zainteresowaną przede wszystkim pieniędzmi. Logika podpowiada, że skoro ktoś przez wiele lat trzyma na rachunku oszczędności, terminowo spłaca kredyty, korzysta z karty płatniczej, nie powoduje problemów i regularnie zasila konto kolejnymi wpływami, to powinien być dla banku klientem idealnym. W końcu każda firma marzy o stałych odbiorcach swoich usług. Restauracje rozdają rabaty wiernym gościom. Hotele przyznają punkty za kolejne noclegi. Nawet osiedlowy sklepik często potrafi odłożyć najlepszy towar dla klienta, którego zna od lat. Tymczasem sektor bankowy wykombinował coś dokładnie odwrotnego. Doszedł do wniosku, że najbardziej wartościowy klient to taki, który jeszcze wczoraj był klientem konkurencji.

Nielojalność w cenie

W ten sposób powstało jedno z najciekawszych zjawisk współczesnych finansów, czyli kult „nowych pieniędzy". Nie chodzi przy tym o pieniądze nowe w sensie technicznym. Nikt przecież nie drukuje dodatkowych banknotów tylko po to, żeby zasilić lokatę w kolejnym banku. Chodzi o kasę klienta, który został świeżo pozyskany. Jeśli ktoś przez 10 lat trzymał na rachunku 100 tys. zł, bank traktuje te pieniądze jak mebel stojący od dawna w salonie. Jest, owszem, ale nikt już nie zwraca na niego uwagi. Jeśli jednak ten sam klient wycofa swoje oszczędności i przeniesie je do konkurencji, nagle stają się one niezwykle atrakcyjne. Konkurencyjny bank jest gotów płacić za nie premie, dopłaty, bonusy i promocyjne oprocentowanie. Te same pieniądze, które dzień wcześniej były dla jednego banku nudne i oczywiste, następnego dnia stają się przedmiotem pożądania dla drugiego.

Na pierwszy rzut oka wygląda to jak normalna konkurencja rynkowa. Banki walczą o klienta, klient korzysta, wszyscy są zadowoleni. Ale po bliższym przyjrzeniu się całemu mechanizmowi zaczyna on przypominać coś niepokojącego. Wyobraźmy sobie pięciu restauratorów mających knajpy obok siebie. Każdy płaci ludziom za wejście do swojego lokalu. Ci więc ludzie chodzą od drzwi do drzwi, odbierając kolejne kupony promocyjne. Po paru dniach wszyscy restauratorzy ogłaszają sukces, ponieważ zdobyli nowych klientów. O tym, że równie wielu klientów stracili, jakoś nie wspominają. Właśnie tak wygląda dziś znaczna część polskiej bankowości.

W sieci widać promocje, które doskonale pokazują skalę zjawiska. UniCredit potrafi zaoferować lokatę powitalną oprocentowaną na 6 proc. do kwoty 100 tys. zł. BNP Paribas kusi stawkami sięgającymi 7,5 proc. oraz premią wynoszącą nawet 700 zł. Pekao SA oferuje przedsiębiorcom do 4200 zł. Erste gotów jest wypłacić nawet 4500 zł, rozbijając tę kwotę na trzy miesięczne transze po 1500 zł. Dla człowieka niezwiązanego z finansami wygląda to niemal jak wyprzedaż w centrum handlowym. Wszędzie migają promocje, bonusy i okazje. Można wręcz odnieść wrażenie, że banki oszalały z hojności. Tyle że ta hojność nie jest skierowana do ludzi, którzy od lat trzymają w poszczególnych bankach oszczędności. Nie jest dla tych, którzy przez dekady spłacali kredyty, czyli klientów najbardziej lojalnych. Jest nastawiona wyłącznie na tych, których można wpisać do rubryki „pozyskani".

Strata to zysk

To właśnie tutaj zaczyna się cyrk. W oficjalnych komunikatach banki opowiadają o budowaniu relacji z klientami, wzajemnym zaufaniu i długoterminowej współpracy. W reklamach występują szczęśliwe rodziny, dzieci biegające po ogrodzie i emeryci spacerujący po plaży. Doradcy finansowi opowiadają o partnerstwie, marketingowcy wymyślają kolejne kampanie mające przekonać obywatela, że bank jest niemal członkiem rodziny. Potem ten sam obywatel odkrywa, że członek rodziny właśnie zaoferował sąsiadowi klientowi lokatę z oprocentowaniem

Secesja patrycjatu

Polska krajem krzyczących niesprawiedliwości.

„Mój dom murem podzielony" – śpiewał przed laty Kazik w pamiętnej piosence Kultu „Arahja" – „lewa strona nigdy się nie budzi, prawa strona nigdy nie zasypia". Dziś wizja jawi się jako prorocza. Rzeczpospolita, bez względu na to, kto nią rządzi – a poza konfiarzami i razemitami rządzili praktycznie wszyscy – jest łaskawa, delikatna i pełna wspierającej empatii wobec silnych i bogatych, a zarazem coraz bardziej brutalna dla słabych i biednych. To nie są sprawy drobne, w ostatniej instancji idzie o ludzkie losy, a nawet niejednokrotnie – samo życie.

W czyim interesie?

Rządzeni mają nigdy się nie obudzić, a rządzący nigdy nie zasypiają, utrzymując tych pierwszych w stanie co najwyżej letargu, aby nie patrzyli władzy na ręce – w końcu szlachetna i jakże złożona jest sztuka rządzenia, zbyt trudna i skomplikowana dla szaraczków.

Patrząc na takiego Karola Nawrockiego – właśnie bijącego rekordy popularności w sondażach opinii publicznej – widzę jednoznacznie, że piastowanie najwyższych stanowisk to kwestia odpowiedniego lansu, sprytu, schlebiania najniższym instynktom nawet już nie obywateli, lecz (używając metafory Davida Riesmana) samotnego tłumu.

Jedyne, co mnie dziwi, to, że prawie nikogo to już w tym kraju nie dziwi. Co jednoznacznie pokazuje, jak daleko na poziomie uczuć i rozumu jako społeczeństwo przyswoiliśmy sobie mentalność wilczych praw kapitalizmu. Państwo dusi podatkami biedotę, a daje wciąż nowe możliwości niepłacenia niczego do wspólnej kasy najzamożniejszym Polakom, co jawi nam się jako stan naturalny niczym noc po dniu, a kac po chlaniu dzień wcześniej.

Jak wiadomo, nie ma przypadków, są tylko znaki. W poważną depresję wpędza mnie medialne szatkowanie rzeczywistości, która jest całością, na pojedyncze niczym monady sprawy, które nie mają z sobą nic wspólnego. A przynajmniej nie powinny mieć w umyśle odbiorcy czy odbiorczyni, którzy – uchowaj Boże! – mogliby zacząć zadawać niewygodne pytania. Włącznie z tym fundamentalnym: kto tak naprawdę rządzi tym krajem i w czyim interesie on tę władzę sprawuje? W demokracji podobno władza pochodzi od ludu, lecz wciąż brak dociekliwych, którzy poważnie zajęliby się kwestią, dokąd ona odchodzi, w czyje ręce trafia.

Bogaci coraz bogatsi

Wedle „Wealth Report 2026" firmy Knight Frank liczba hiperbogatych Polaków – z majątkiem wynoszącym ponad 100 mln zł – w latach 2021–2026 wzrosła o 109 proc. Jest ich podobno dokładnie 3017. Szybszy przyrost krezusów odnotowała jedynie Arabia Saudyjska.

Za oknami tropikalne upały, ale generalnie w Polsce jest pogoda dla bogaczy. Wspomniany raport przewiduje, że do 2031 r. liczba miliarderów dolarowych w naszym kraju wzrośnie z 13 do 29.

Kiedy ciemny lud pasjonuje się kwestią sukcesji u Solorzów, rodzimych magnatów przemysłowo-medialnych, nikt nawet nie zająknie się, że biznesy te są robione w Polsce, ale kontrolowane za pośrednictwem dwóch zarejestrowanych w Liechtensteinie fundacji, które posiadają udziały w cypryjskich spółkach TiVi Foundation i Solkomtel zarządzających polskimi aktywami. W ten sposób dziedzice Solorza, upasieni dzięki państwu polskiemu – koncesja telewizyjna dla Polsatu, koncesja na telefonię komórkową i internet dla Plusa – nie zapłacą nawet 10 groszy podatku spadkowego.

To PiS – chrzaniący bez końca o dobru zwykłego człowieka – trzy lata temu stworzył ustawę o fundacji rodzinnej. Gwoli ścisłości: sejm przegłosował ją praktycznie jednogłośnie, poparło ją 441 posłów, a prezydent Duda podpisał bezzwłocznie. W kwestiach podatkowych jest ona bardziej dziurawa niż ser szwajcarski.

Kiedy niedawno media podniecały się oświadczeniami majątkowymi polityków, nie zwróciły uwagi, że co majętniejsi z nich przerzucili do fundacji rodzinnych większość majątku, więc w oświadczeniu znajduje się enigmatyczne sformułowanie o „prawach do świadczeń z fundacji". Fundacje rodzinne założyły takie tuzy polityki jak Sławomir Mentzen, Daniel Obajtek, Przemysław Wipler czy Ryszard Petru.

eprasa.pl 471020cdc7

Niekonkurencyjna konkurencja

Rys. GRZEGORZ SOBCZAK

towałoby fortunę. Gdyby każdy posiadacz lokaty miał otrzymywać promocyjne 6 czy 7 proc., wyniki finansowe sektora wyglądałyby znacznie mniej okazale. Znacznie taniej jest więc skoncentrować się wyłącznie na nowych pieniądzach. Kilku klientów otrzyma świetne warunki, zaś cała reszta pozostanie przy standardowej ofercie. Matematyka jest bezlitosna. Koszt promocji okazuje się wielokrotnie niższy od ceny uczciwego traktowania wszystkich.

Sektor finansowy dorobił się nawet własnego języka służącego do opisywania tego procederu. Funkcjonują pojęcia CAC oraz LTV. Pierwszy skrót oznacza koszt pozyskania klienta, drugi – jego wartość w czasie. Za tą fachową terminologią kryje się jednak bardzo prosty pomysł: bank jest gotów wydać dziś kilkaset lub kilka tysięcy złotych, jeśli wierzy, że w przyszłości odzyska te pieniądze z nawiązką. Człowiek przychodzi po premię, ale może zostać na lata. Może zamówić kartę kredytową. Może wziąć pożyczkę gotówkową. Może skorzystać z limitu w rachunku. Może wreszcie przyjść po kredyt hipoteczny, na którym bank zarobi znacznie więcej niż na całej wcześniejszej promocji. Dlatego prezent w wysokości 500, 700 czy nawet 4500 zł jest dla instytucji finansowej inwestycją, a nie kosztem.

dwukrotnie wyższym od tego, które jemu samemu proponuje od kilku lat.

To efekt chłodnej kalkulacji. Bankowcy doskonale wiedzą, że utrzymywanie podwyższonego oprocentowania dla wszystkich klientów kosz-

Kluczowe znaczenie ma przy tym coś, co ekonomiści określają mianem inercji konsumentów. Nazwa brzmi skomplikowanie, ale chodzi o zwykłe ludzkie lenistwo. Banki doskonale wiedzą, że większość klientów nie ma ochoty co kilka miesięcy zmieniać rachunku, aktualizować danych, przepisywać poleceń zapłaty i przenosić wszystkich usług finansowych. Dlatego znaczna część osób zostaje tam, dokąd trafiła przypadkiem. Nawet jeśli promocja już dawno się skończyła, oprocentowanie spadło do poziomu wywołującego u księgowych niekontrolowane wybuchy śmiechu, a konkurencja oferuje znacznie lepsze warunki. Bank nie musi zatrzymać wszystkich. Wystarczy, że zatrzyma odpowiednio wielu. Bo jeśli nawet trafi się klient, który odejdzie skuszony promocją konkurencji, to po wykonaniu kilku wolt i tak po jakimś czasie wróci do starego banku, gdy już zobaczy, że ma nowe pieniądze i warunki, których jako stary klient nigdy by nie dostał. Tacy wędrujący klienci są dla sektora bankowego najgenialniejsi, bo dostarczają nieustannie nowych pieniędzy wszystkim.

Premia za słupki

Najbardziej fascynujące jest jednak to, że cała branża zachowuje się tak, jakby uczestniczyła w jakimś nieformalnym porozumieniu. Oczywiście nikt nie podpisuje żadnych umów. Nie istnieją tajne spotkania prezesów, nie ma też spisku w klasycznym rozumieniu tego słowa. Wystarczy jednak spojrzeć na owoce. Każdy bank promuje nowych klientów, każdy płaci za nowe pieniądze, każdy oferuje bonusy za przeniesienie rachunku, każdy znacznie skromniej traktuje klientów dotychczasowych. Wszyscy uczestnicy rynku zachowują się tak samo, choć formalnie konkurują ze sobą.

Największymi beneficjentami tej rozgrywki nie są wcale klienci, ale bankowe zarządy i marketingi. To właśnie one mogą później prezentować akcjonariuszom i radom nadzorczym kilkadziesiąt tysięcy nowych rachunków, kilkaset milionów złotych nowej kaski, wykazywać dynamiczny wzrost bazy klientów i rosnący udział w rynku. Dla akcjonariuszy brzmi to doskonale, bo oni nie patrzą na to, że znaczna część tych sukcesów przypomina przelewanie wody pomiędzy identycznymi wiadrami. Klient opuszcza jeden bank i pojawia się w drugim. Pieniądze opuszczają jeden rachunek i trafiają na drugi. Wartość dla całego systemu pozostaje niemal identyczna. Zmieniają się jedynie statystyki, a statystyki są w bankowości walutą równie cenną jak pieniądze.

To nimi menedżerowie uzasadniają swoje premie. Dzięki nim działy marketingu otrzymują wyższe budżety, a prezentacje dla inwestorów wyglądają efektownie, bo można opowiadać o wzroście, ekspansji i sukcesie.

Nikt natomiast nie organizuje konferencji prasowej poświęconej klientowi, który pozostał w banku kolejny rok, i nie wręcza nagrody za utrzymanie lojalności. Nikt nie buduje kampanii reklamowej wokół faktu, że klient nie odszedł.

Mamy więc jeden z najbardziej eleganckich przekrętów współczesnego kapitalizmu. Całkowicie legalny, zgodny z prawem i regulaminami, akceptowany przez nadzór finansowy i przedstawiany jako wzór konkurencji rynkowej. Klient dostaje premię, więc wydaje mu się, że wygrał. Bank zdobywa klienta, więc uważa, że wygrał. Zarząd odbiera premię, więc wie, że wygrał. Marketing prezentuje wyniki, więc również świętuje sukces. Dopiero po kilku miesiącach okazuje się, że człowiek, który jeszcze niedawno był najcenniejszym klientem świata, stał się klientem zwyczajnym. Oprocentowanie spada. Promocje się kończą. Opłaty wracają. A wtedy pozostaje mu zrobić dokładnie to, czego od początku oczekiwał cały sektor finansowy. Stać się nowym klientem w następnym banku.

TADEUSZ JASIŃSKI

Jak ujął to Marek Czarkowski na łamach „Przeglądu", czasem ułatwianie sukcesji polega na tym, że „udziały fundatora lądują w fundacji, która po kilku miesiącach je sprzedaje, a pieniądze trafiają do jego kieszeni jako »świadczenia«. Wszystko odbywa się zgodnie z prawem".

Podatki płacą frajerzy

Podobno w życiu są dwie rzeczy pewne: śmierć i podatki. Rzecz idzie jednak o to, jaka jest wysokość tych drugich. W Najjaśniejszej Rzeczypospolitej politycy wciąż pierdolą, że trzeba obniżać podatki, nie wspominając, że podatki dla najbogatszych w Polsce należą do najniższych w państwach rozwiniętych.

Faraońskie przedsięwzięcia infrastrukturalne, krocie na wojsko i zbrojenia, a także transfery pieniężne udające politykę społeczną kosztują – państwo dociska śrubę tym, którzy zarabiają za mało, aby móc choćby marzyć o ucieczce od danin. No i zadłuża się, często u zagranicznego kapitału i rodzimych krezusów, którym wcześniej pozwoliło nie płacić uczciwych podatków.

Polski Instytut Ekonomiczny (PIE) szacował, że w 2020 r. fikcyjnie samozatrudnionych było ok. 160 tys. – głównie w sektorze IT, działalności naukowej i w ochronie zdrowia. PIE do tej grupy zaliczył wyłącznie osoby spełniające łącznie trzy warunki: pracę na własny rachunek, działalność jednoosobową i pracę głównie dla jednego zleceniodawcy. Nietrudno zgadnąć, że przy innej metodologii liczby byłyby inne. GUS na przykład liczy osoby, które naraz są samozatrudnione, nie zatrudniają nikogo i pozyskują co najmniej 75 proc. ich od jednego zleceniodawcy. Nie trzeba zdolności dedukcyjnych Sherlocka Holmesa, by dojść do wniosku, że większość z nich to firmy fikcyjne.

Według kompleksowego Badania Aktywności Ekonomicznej Ludności w IV kwartale 2025 r. liczba takich osób sięgnęła ponad pół miliona, choć jeszcze w 2019 r. było to nieomal cztery razy mniej – 138 tys. osób! Innymi słowy, każdy, kto chce – i odpowiednio dużo zarabia – może przejść na jednoosobową działalność gospodarczą i płacić o wiele niższe podatki. „Przy przymykaniu oka ze strony państwa na ten proceder, mamy, co mamy. Brak realnej kontroli skutkuje tym, że drugi próg podatkowy jest w zasadzie dobrowolny. Trudno, żeby ludzie płacili wyższe podatki z własnej woli" – zauważa trzeźwo publicysta ekonomiczny Kamil Fejfer.

Krokodyle łzy nad 32-procentową stawką dla zarobków powyżej 120 tys. zł rocznie niewielu wzruszają, skoro to oznacza przynależność do 10 proc. najlepiej zarabiających. Tusk już się postarał, kontynuując politykę Morawieckiego, aby inspekcja pracy była bezzębna i nie ścigała oczywistych oszustów. Korzystniej jest być miłym dla bogatych, wszak mogą się dorzucić do funduszu wyborczego KO…

Całe 90 groszy więcej za godzinę

Kiedy wiecznie zadowolona z siebie szefowa Ministerstwa Rodziny, Pracy i Polityki Społecznej Agnieszka Dziemianowicz-Bąk wnioskowała, aby w przyszłym roku wynagrodzenie minimalne wzrosło o 180 zł brutto do 4986 zł i 32,60 zł za godzinę – jasne było, że skokowe podwyżki pensji dla najbiedniejszych pracujących z czasów PiS-u odeszły do przeszłości.

Niewiele osób jednak przypuszczało, że ostateczna propozycja rządu, punkt wyjścia rozmów w Radzie Dialogu Społecznego (skupiającej organizacje pracowników, pracodawców i rząd) będzie jeszcze bardziej skąpa: 4950 zł miesięcznie i zaledwie 90 groszy więcej za godzinę (32,30 zł). Jeżeli ktoś jeszcze miał jakiekolwiek wątpliwości, czyje interesy reprezentuje obecna władza sprzeciwiająca się rozsądnej propozycji związkowców – pensja minimalna na poziomie co najmniej 5200 zł brutto – to chyba je stracił.

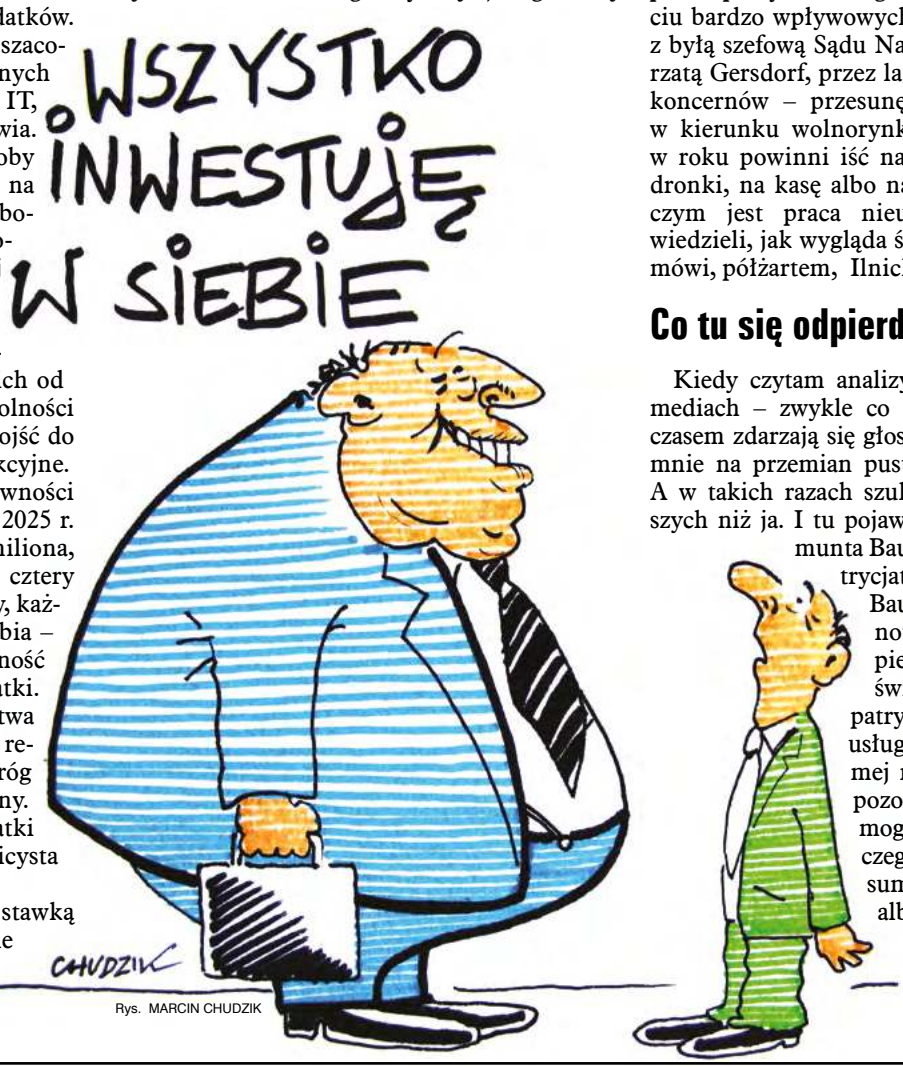

Rys. MARCIN CHUDZIK

Donald Tusk, który rocznie z samych emerytur z Komisji Europejskiej, Belgii i z ZUS-u wyciąga skromne 450 tys. zł – 37,5 tys. zł miesięcznie – słusznie dba, aby pracujące w urzędach, szpitalach czy przy sprzątaniu panie nie miały za lekko. Przecież Kościół nas naucza, że bogactwo materialne demoralizuje, a biedacy może nie mają na czynsz i leki, ale za to otwarte będzie przed nimi Królestwo Niebieskie.

Inna rzecz, że nie brak w Polsce miejsc, gdzie nie przestrzega się regulacji o pensji minimalnej. Notorycznie dzieje się tak w sektorze usług, zwłaszcza w gastronomii. Zauważmy jednak, że w odróżnieniu np. od Stanów Zjednoczonych, w Polsce nie można legalnie płacić poniżej pensji minimalnej, licząc, że różnice pokryją napiwki.

Jak ujął to w rozmowie z „Wyborczą" ekspert prawa pracy dr Grzegorz Ilnicki, kilkudziesięciu bardzo wpływowych prawników – na czele z byłą szefową Sądu Najwyższego prof. Małgorzatą Gersdorf, przez lata pracującą dla dużych koncernów – przesunęło interpretację prawa w kierunku wolnorynkowym. „Sędziowie raz w roku powinni iść na trzy tygodnie do Biedronki, na kasę albo na rozładunek, i poczuć, czym jest praca nieuprzywilejowana. Żeby wiedzieli, jak wygląda świat ich podsądnych" – mówi, półżartem, Ilnicki.

Co tu się odpierdala?

Kiedy czytam analizy w głównych polskich mediach – zwykle co jedną to głupszą, choć czasem zdarzają się głosy rozumne – to ogarnia mnie na przemian pusty śmiech i wściekłość. A w takich razach szukam porady u mądrzejszych niż ja. I tu pojawia się ukute przez Zygmunta Baumana pojęcie secesji patrycjatu – czyli elit. Jak pisze Bauman w książce „Wspólnota. W poszukiwaniu bezpieczeństwa w niepewnym świecie": „Współczesnym patrycjuszom nie potrzeba usług wspólnoty; w rzeczy samej nie mogą zrozumieć, co pozostawanie we wspólnocie mogłoby im dać takiego, czego już sobie własnym sumptem nie zapewnili albo mieli nadzieję tymże sposobem zapewnić".

Rosnąca grupa najbogatszych Polaków staje się częścią zglobalizowanych elit. Dziś mogą mieszkać w Warszawie, jutro w Londynie lub Nowym Jorku; nie są przywiązani do żadnego miejsca, co odróżnia ich od plebejuszy. Źródłem ich potęgi jest zdolność do natychmiastowego przemieszczania się, możliwość nieponoszenia konsekwencji decyzji, które podjęli. Bauman ujmuje to tak: „Panowanie polega na zdolności do ucieczki, zerwania zobowiązań i znalezienia się »gdzie indziej« oraz na możliwości decydowania o dynamice i przebiegu tych działań. Panowanie to także pozbawianie podległych sobie osób narzędzi, za pomocą których mogłyby one powstrzymywać, ograniczać czy choćby spowalniać ruchy panujących. Współczesna walka o władzę toczy się zatem między siłami uzbrojonymi w narzędzia służące, odpowiednio, przyspieszaniu lub spowalnianiu ruchu".

Kiedy miliarder Brzoska i jego żona Omenaa latają po całym świecie (ostatnio byli u Baracka Obamy) i czynią kolejne akty rzekomej dobroczynności, to jest to możliwe tylko i wyłącznie dzięki skrajnemu wyzyskowi zmuszonych do samozatrudnienia kurierów InPostu

pracujących po kilkanaście godzin na dobę, rozwożących paczki po każdej dziurze w kraju. Tych drugich nie pokazuje się w portalach plotkarskich, są oni społecznie niewidoczni. I przemierzają tymi busami te same drogi niekiedy siedem dni w tygodniu od rana do nocy. To typowi, rzekłby Bauman, ludzie na przemiał.

Kiedy patrzę na to wszystko wokół siebie – a od czasu wprowadzenia kaucji na butelki widzę zaciętą walkę o możność przeglądania śmietników pod moim blokiem – to już nie zastanawiam się, czy to wszystko pierdolnie, tylko kiedy…

KATARZYNA KOENIG

eprasa.pl 471020cdc7

Nikt się nie dziwi

Sekretarz papieża do sądu zmierza

87-letni Stanisław Dziwisz jest w na tyle dobrej kondycji, żeby udać się na urlop, ale na tyle złej, by nie móc zeznawać przed sądem. Nieprzyzwyczajony do tłumaczenia się z czegokolwiek śmiertelnikom, nawet w sędziowskich togach, odmierza już raczej czas do sądu ostatecznego (o ile w niego wierzy, a nie tylko każe innym wierzyć). Dziwisz ostatnią prostą swojego życia chce spędzić, korzystając z pozostałego mu czasu, a włóczenie się po sądach nie należy do najprzyjemniejszych rozrywek dla seniorów.

Ilustr. PAWEŁ FERENC

Sekretarzyki

Były sekretarz JP2 miał się stawić przed Sądem Okręgowym w Krakowie, aby dać się przesłuchać w sprawie ks. Jana Wodniaka, certyfikowanego pedofila – dwukrotnie wpisanego do rejestru Państwowej Komisji ds. Pedofilii. Za pierwszym razem nie uwzględniono wszystkich jego ofiar, więc ponownie wpisano go 29 maja 2026 r. Ludzkiej sprawiedliwości domaga się jeden z pokrzywdzonych przez Wodniaka, Janusz Szymik. Ksiądz wykorzystywał go latach 1984–1989, kiedy był proboszczem parafii w archidiecezji krakowskiej. Zanim trafił na probostwo, Wodniak był m.in. kapelanem kard. Franciszka Macharskiego, bezpośredniego następcy Wojtyły na krakowskim tronie (mają szczęście do tych sekretarzy...). Proboszczem w Międzybrodziu Bialskim był aż do 2014 r., a w tak zwanym międzyczasie parafia wpadła w granice diecezji bielsko-żywieckiej. Z urzędu odwołał go bepe Roman Pindel. Ten już zeznawał w sprawie Janusza Szymika. To Pindel powiedział, że Wodniak nie jest już księdzem. – Nie ma z nim kontaktu. Po przeniesieniu go w stan świecki, o czym Stolica Apostolska zdecydowała w 2024 r., sugerowaliśmy, by pozostał w klasztorze. Miał tam pracować jako kucharz, ale nie zdecydował się na takie rozwiązanie – mówił biskup w sądzie. Tym łatwiej będzie mówić, że to nie ich człowiek, więc pieniądze się po prostu ofiarom nie należą.

Janusz Szymik był, jak twierdzi, gwałcony przez Wodniaka kilkaset razy. Teraz domaga się od archidiecezji krakowskiej 20 mln zł. Żeby je dostał lub nie, sąd potrzebuje zeznań Dziwisza, bo rządził on w Krakowie w latach 2005–2016. Zaproszono go na 22 czerwca – nie przyszedł. Krakowska kuria tłumaczyła, że to z powodu złego stanu zdrowia kardynała. Sąd zażądał zaświadczenia od lekarza o stanie zdrowia, bo jak nie, to grzywna. Na kolejnej rozprawie sędzia uznała, że to niepoważne traktowanie sądu. „Kardynał Dziwisz napisał pismo, że od 2 do 31 lipca jest na uprzednio zaplanowanym wyjeździe, w tym do Stolicy Apostolskiej. Sąd przypomina, że poza grzywnami sąd może zarządzić przymusowe doprowadzenie świadka przez policję. Nie będzie to wyglądało poważnie, że sąd będzie przymusowo doprowadzał na przesłuchanie, dlatego sąd przed tym ostrzega” – cytował sędzię Onet.

Aktywny

Dziwisz, choć do sądu się nie kwapi, nie stroni od brylowania na różnych uroczystościach w Polsce i poza jej granicami. Nadal zapraszany jest jako żywa relikwia JP2 i uświetnia swoją obecnością spędy ku czci dawnego szefa. Od kiedy do Krakowa wrócił jego protegowany Grzegorz Ryś, Dziwisz częściej widywany jest na oficjalnych kościelnych imprezach, bo z Jędraszewskim się niezbyt lubili. Wszędzie towarzyszy mu włoski sekretarz, diakon Andrea, którego wyświęcił w Warszawie także wywodzący się z Krakowa kard. Kazimierz Nycz. Na taką hucpę jak święcenie „asystenta” Dziwisza nie zgodził się wspomniany Jędraszewski i chłopaki musiały się wybrać aż do Warszawy. „Ów Włoch figuruje również w rejestrach sądowych jako wspólnik i prezes jednoosobowego zarządu firmy, która zarejestrowana w Krakowie zajmuje się handlem m.in. owocami cytrusowymi” – pisał na swoim blogu nieżyjący już ks. Tadeusz Isakowicz-Zaleski, który też zamieścił zdjęcia z uroczystości w sieci. Jedno dość wymowne: Andrea i don Stanislao trzymają się za rękę.

Tenże Isakowicz-Zaleski w 2012 r. napisał list do kard. Dziwisza, w którym informował go m.in. o sprawie Szymika. Dziwisz długo udawał, że nic takiego nie dostał i o sprawie nie ma pojęcia. „Rozmowy na ten temat sobie nie przypominam. Zwłaszcza że ta sprawa nie należała do mnie, ale do biskupa ordynariusza diecezji bielsko-żywieckiej. Wtedy, kiedy te rzeczy się działy, to ja byłem w Rzymie. Będąc w Krakowie, bardzo późno dowiedziałem się o tym, i to dowiedziałem się z prasy. Ksiądz Wodniak był zresztą sądzony i ta sprawa była wtedy głośna” – mówił w TVN24. Gdy dłużej udawać nie mógł, kuria znalazła wybieg – daty się nie zgadzały: „Ksiądz Isakowicz-Zaleski w materialne prasowym podaje, że »21 kwietnia 2012 r. przyjechałem do krakowskiej kurii i wręczyłem do rąk własnych kard. Dziwiszowi dokumenty«. Jest to błędna data. [...] Po to archiwizuje się materiały, aby móc je wykorzystać w odpowiedzi na pytania. Pytanie jednak musi zawierać prawidłowe dane, inaczej pozoruje się sytuację, aby budować narrację o tym, że Kardynał coś ukrywa. Nie jest to jedyny podobny »przypadek« w sprawie abpa Stanisława Kardynała Dziwisza. Ksiądz Isakowicz-Zaleski w swoim blogu wskazał ten list, ale ma on datę 24 kwietnia 2012 r. i rzeczywiście po tej dacie taki list jest zarejestrowany w archiwum Kurii Krakowskiej”. Tęgie głowy pracują przy Franciszkańskiej 3.

Niepamiętliwy

Niepierwsze to i nieostatnie zapewne kłopoty Dziwisza z pamięcią. Człowiek ten

z niebywałą precyzją potrafi wymienić menu JP2 z wycieczki do Meksyku i sekwencję modlitw, które odmawiał po zamachu, ale gdy przychodzi mu opowiadać o sprawach mniej chwalebnych, doznaje amnezji.

Nie pamiętał nawet, że Wojtyła nakazał mu w testamencie spalić notatki osobiste. Zapomniał i wydał je drukiem. Selektywna pamięć Dziwisza zapewne pogarsza się z wiekiem, zatem ciąganie go po sądach będzie odbierał jak zamach na emeryturę kombatanta w walce wrogami Kościoła.

Karta „Jan Paweł II” musi jednak wciąż działać w pewnych kręgach. Posłanka PiS Anna Paluch zapytana ostatnio na sejmowym korytarzu przez dziennikarkę TVP, czy zwolni mieszkanie komunalne, zastosowała „gambit watykański”. – Dopóki nie przeprosicie za ten beznadziejny, wstrętny atak na Ojca Świętego Jana Pawła II, nie udzielę wam żadnej wypowiedzi. Ode mnie jej nie usłyszycie. Powinna pani przeprosić. Proszę przestać kłamać – rzuciła do red. Justyny Dobrosz-Oracz. Widocznie dla jej elektoratu jest to wystarczająca wymówka. Można robić wały, ale muszą to być wały im. Jana Pawła II.

MATT KOBOSKO

Udar kościelny

Katolickie sposoby na upały

Księża straszą, że w piekle będziemy się smażyć. Przedsmak można poczuć tego lata. Piekło mamy podwójne – nie dość, że upał, to jeszcze w Polsce. Jak ktoś jest wierzący, ma dodatkowo przerąbane, bo choć świątynie zazwyczaj kuszą przyjemnym chłodem, to ich personel wymaga odpowiedniego stroju niezależnie od temperatury. Co roku na początku wakacji księża przypominają, że do kościoła należy ubierać się godnie, tak by nie rozpraszać innych kawałkami odkrytego ciała. Na pokusy wystawieni są zwłaszcza duszpasterze, którzy muszą się oganiać od nieprzystojnych myśli jak od komarów.

Na stronach parafii pojawiają się poradniki, jak ubierać się do kościoła, żeby nie narazić się na piekielne męki wieczne, ale i nie ugotować się żywcem. Np. ze strony internetowej parafii w Grajewie dowiadujemy się: „Kobiecy ubiór do kościoła to opcja »skromnie« – ubrania nie są ani obcisłe, ani prześwitujące i nie wystaje spod nich bielizna. Właściwy strój to taki, który u nikogo nie wywołuje negatywnych reakcji i nie rozprasza uwagi. Należy więc unikać: sukienek oraz bluzek z odkrytymi ramionami i plecami, zbyt głęboko wyciętego dekoltu, spódniczek i sukienek mini, krótkich spodenek, bluzek, które nie zakrywają brzucha, oraz legginsów”.

Gdy zaś idzie o mężczyzn to „idący do kościoła panowie także powinni być eleganccy i odświętni, dlatego strój roboczy czy też sportowy tym razem powinni zostawić w szafie. W świetle etykiety, elegancki mężczyzna wybierając się na Mszę św. może ubrać garnitur w połączeniu z białą koszulą i krawatem. Mile widziane są także koszule, spodnie z materiału lub jeansy, ale bez przetarć oraz półbuty. Koszulka typu T-shirt, jak mówią specjaliści, to strój dobry na rower lub jogging. Niedopuszczalne są natomiast krótkie spodenki”.

Takich przestróg, by nie szczuć cycem oraz innymi częściami ciała, księża wypluli już setki. Nowość pojawiła się w Parafii Przemienienia Pańskiego w Dąbrówce Wielkiej. Tamtejszy

Ilustr. PAWEŁ FERENC

proboszcz powodowany troską o zdrowie i życie parafian zezwolił im, by do kościoła nie ubierali się w ogóle i po prostu do niego nie przychodzili.

„Uwaga! Jutro ma być upał. Przy wejściu do kościoła stoi stolik z wodą mineralną. Zachęcam do korzystania. Jeśli ktoś się poczuje słabo przypominam, salka i toalety na plebanii otwarte. Jeśli będzie ciężko postaram się włączyć te wentylatory na ścianach. Dbajmy o siebie. Jeśli ktoś choruje lub źle się czuje, lepiej pozostać w domu i uczestniczyć we Mszy świętej przez telewizję. Bóg wie najlepiej” – zaapelował na Facebooku. Lepszy wierny zdalny, ale żywy, niż obecny fizycznie i padnięty.

Proboszczowi Dąbrówki Wielkiej przypominamy jednak, że nie można za bardzo owieczkom folgować, bo – jak naucza abepe Wacław Depo z Częstochowy – „coraz dłuższe urlopy odciągają od Boga, bo nie ma podczas nich czasu na pójście do kościoła”. Raz nie przyjdą, bo za ciepło, drugi – bo za zimno, trzeci – bo im się nie chce. I tyle ich zobaczy. Testowane już w czasie pandemii. Ale nie będziemy księdza uczyć strzyc owieczki, nie nasz interes. Upały doskwierają, ale nie aż tak, żebyśmy zaczęli pomagać księżom.

ŁP

WIEŚCI Z KRUCHTY

✚ Do proboszcza jednej z podopolskich parafii dotarły sygnały od parafian o osobie podszywającej się pod księdza. Według relacji świadków ubrany w sutannę ok. 23-letni rudy mężczyzna o krępej budowie ciała był widywany od dłuższego czasu zarówno w samym Opolu, jak i w kilku okolicznych miejscowościach. Podrabiany klecha miał podejmować działania mające sprawiać wrażenie pełnienia funkcji kapłańskich, m.in. oferując możliwość spowiedzi. Według tych informacji zwracał się również do różnych osób z prośbami o wsparcie finansowe. Diecezja opolska wydała komunikat, w którym ostrzega wiernych i apeluje o ostrożność. Nic dziwnego, nikt nie lubi konkurencji.

Rys. MIROSŁAW HAJNOS

✚ Sąd Rejonowy Lublin-Zachód wydał wyrok w sprawie księdza zatrzymanego w Wielki Piątek za jazdę na podwójnym gazie. Przypomnijmy: w nocy z 2 na 3 kwietnia policja zatrzymała na Al. Kraśnickiej w Lublinie osobową Toyotę, której kierowca przekroczył prędkość. Cztery kolejne badania alkomatem wykazały, że 41-latek miał blisko dwa promile alkoholu w organizmie. Przy okazji wyszło na jaw, że to Konrad Ż., ksiądz jednej z lubelskich parafii i szkolny katecheta. W trakcie procesu duchowny tłumaczył, że wypił kilka lampek wina i poczuł silny głód. Jako że lodówka była pusta, postanowił podjechać do restauracji McDonald's. Sąd przyklepał klesze za jazdę pod wpływem grzywnę w wysokości 5,4 tys. zł, czteroletni zakaz prowadzenia wszelkich pojazdów mechanicznych, obowiązek wpłaty 5 tys. zł na Fundusz Pomocy Pokrzywdzonym oraz Pomocy Postpenitencjarnej, a także przepadek fury, którą kierował w chwili zatrzymania. Serdecznie gratulujemy.

✚ Nieznani sprawcy ukradli figury Chrystusa z trzech przydrożnych krzyży na wrocławskich Stabłowicach. Czynności wyjaśniające oddalenie się Zbawiciela z miejsc kultu wyjaśnia policja. Osobisty apel w sprawie wystosował m.in. abepe Józef Kupny: „Nie pozwólmy, by takie sytuacje wzbudzały jeszcze więcej nienawiści. Tym karmi się zło. Na akt wandalizmu odpowiedzmy modlitwą i miłością. Wtedy zwycięża Bóg”. Nie ma co popadać w popłoch, zwykle wraca po trzech dniach.

✚ Katowicka kuria czeka na zgłoszenia poszkodowanych seksualnie przez zmarłego w 2018 r. biskupa pomocniczego Gerarda Bernackiego. Decyzja o badaniu sprawy zapadła po tym, kiedy do katowickiego Kościoła zgłosił się mężczyzna, który w dzieciństwie miał być molestowany przez klechę. Do przestępstw miało dojść w 1985 r. na terenie Kościoła Świętych Apostołów Piotra i Pawła w Katowicach. Ponieważ sprawca nie żyje, według kościelnych przepisów nie ma możliwości przeprowadzenia postępowania kanonicznego. Arcybiskup katowicki Andrzej Przybylski uznał jednak, że sprawę trzeba dokładnie wyjaśnić i powołał w tym celu specjalny zespół. Od początku kwietnia trwają analizy dowodów. Pod koniec czerwca kuria opublikowała komunikat, w którym zwróciła się do potencjalnych ofiar zmarłego biskupa o kontakt. A mówią, że po śmierci dupa nie wierci.

KLECHA

eprasa.pl 471020cdc7

Sport przerywany

Upał dał nam popalić. A co mają mówić sportowcy?

Kto zarywa noce i ogląda piłkarskie mistrzostwa świata, musiał zauważyć, że podczas każdej połowy (mniej więcej w 22. i 67. min spotkania) sędzia ogłasza przerwę na nawodnienie organizmu. FIFA przedstawiła obowiązkowe trzyminutowe przerwy w grze jako przejaw troski o zdrowie i dobrostan zawodników. Kibice na stadionach – a wbrew obawom wielkie stadiony (w Stanach, podobnie jak w Rosji, wszystko musi być wielkie) zapełniają się do ostatniego miejsca – nie są z tego zadowoleni i dają temu wyraz głośnym buczeniem. Wielu trenerów, ze słynnym Marcelo Bielsą na czele, też krytykuje przepis. Bielsa stwierdził nawet, że zamiast pomagać, szkodzi on zawodnikom, bo wybija ich z meczowego rytmu. Piłkarzy nikt o zdanie nie pyta. Oni zresztą każdą sposobną chwilę zawsze wykorzystują na łapanie butelek z wodą, czy FIFA tego chce, czy nie.

Nawadnianie reklamowe

Co sądzą telewidzowie, trudno mi stwierdzić, mogę mówić za siebie. Mnie te *hydration break* wkurzają, żeby nie powiedzieć, że wkurwiają. Należę do starszych obserwatorów piłki, tacy są z reguły konserwatywni, a przecież obowiązkowe przerwy to istotna zmiana przepisów futbolu. Zamiast dwóch połówek, mamy teraz cztery kwarty, jak w koszykówce albo w hokeju na trawie. Jakoś nie mogę się do tego przyzwyczaić. Oglądałem kiedyś w akcji fenomenalnego Francuza Thierry'ego Henry'ego, mistrza świata z 1998 r., który ma na temat dodatkowych przerw jasny pogląd wyrażony w jednym zdaniu: „Piękna gra jest tłumiona przez chciwość".

Nie czarujmy się, że FIFA chodzi o czyjekolwiek dobro, poza swoim. Przerwy wykorzystywane są do puszczania reklam w telewizji za grube pieniądze. Jeśli my tego nie widzimy, to dlatego, że u nas prawa do transmisji z mistrzostw wykupiła telewizja publiczna,

a w myśl polskich przepisów w telewizji publicznej nie wolno pokazywać reklam podczas zawodów sportowych, chyba że w regulaminowych przerwach. Tymczasem *hydration break* to nie jest żadna regulaminowa przerwa. TVP wykorzystuje ten czas co najwyżej na pasek z informacją o jakichś swoich innych programach, a my obserwujemy na ekranach, jak piłkarze się nawadniają, czyli, mówiąc po ludzku, piją.

Takie przerwy nie są w futbolu nowością. Zdarzało się czasem, że sędzia przerywał grę i zapraszał masażystów z bidonami na murawę. Tak było np. podczas niektórych spotkań mundialu w Katarze. Ale tylko wówczas, gdy temperatura stawała się nieznośna. Mówiąc ściśle, europejskie przepisy dopuszczają *hydration break* w przypadku, gdy temperatura powietrza przekracza 35 st. C lub gdy sędzia uzna to za konieczność. Zawsze sędzia podejmuje ostateczną decyzję.

Tymczasem w północnoamerykańskim mundialu decyzją FIFA przerwy na nawodnienie są obligatoryjne w każdym meczu, niezależnie od warunków pogodowych. Nie wiem, czy na Alasce istnieje stadion piłkarski (chyba nie), ale wiem na pewno, że gdyby rozgrywano na nim spotkania mundialowe, zawodnicy zobowiązani byliby do chłodzenia się i nawadniania organizmów. Zresztą w USA zdarzają się mecze, podczas których termometry pokazują niewiele ponad 20 st. C, ale we właściwym czasie zawodnicy i tak wypuszczani są na trzy minuty do swoich ekip przy ławce rezerwowych. Mają się chłodzić i pić, sorry – nawadniać.

Panny z szufelkami

Po brawurowym sukcesie wcześniej mało znanej Mai Chwalińskiej w turnieju Rollanda Garrosa, w naszym kraju bardzo wzrosło zainteresowanie tenisem i tak już duże dzięki Idze Świątek. W tenisie istnieją krótkie minutowe przerwy, po trzecim gemie w secie, a później po każdym co drugim. Oczywiście jest – nieco dłuższa – pauza między setami.

Nie przypominam sobie tenisowej transmisji w państwowej telewizji, dużo go natomiast w różnych stacjach komercyjnych. Każda wolna od odbijania piłeczki chwila wykorzystywana jest na pokazywanie reklam. Zawodniczki i zawodnicy nie próżnują. Też coś piją – albo wodę, albo płyny z energetykami – wcinają banana lub specjalne batony zawierające węglowodany. Każda i każdy ma swoje zasady uzgodnione ze specjalistami i wie, co i kiedy ma robić.

Jeśli praży słońce, nad tenisistami młoda obsługa otwiera parasole jak nad jakimiś hrabiami. Gdy pada deszcz, przerywa się mecz. Podczas turniejów rozgrywanych w hali nawadniać się trzeba, ale parasole idą w odstawkę.

W ogóle o sportach halowych nie ma co mówić. Zdecydowana większość obiektów, przynajmniej tych dużych, wyposażona jest w ogrzewanie i w klimatyzację. Właśnie zakończył się jeden z siatkarskich turniejów Ligi Narodów rozgrywany w Gliwicach. Naprawdę miło się patrzyło, jak piękne i nowoczesne mamy hale sportowe. Tylko Warszawa pozostaje wciąż w tyle za innymi dużymi miastami.

Hokej rozgrywany jest na stadionach lodowych. O chłodzeniu nie ma mowy, w końcu to sport zimowy. Ale przerwy są między tercjami i pojawiają się ekipy czyszczące lodowisko. Standardowo przerwa trwa 15 min, ale w najbardziej komercyjnej, a jednocześnie najlepszej na świecie północnoamerykańskiej NHL wydłużono je do 18 min. Te dodatkowe trzy minuty wykorzystuje się oczywiście na reklamy telewizyjne, a wyobraźcie sobie, ile kosztuje minuta reklamy podczas meczów oglądanych przez miliony.

Widzowie w hali się nie nudzą. Pojawiają się dość skąpo ubrane panny z szufelkami i miotełkami, żeby czyścić lód. Ten zwyczaj przejęły zresztą niektóre kluby naszej Hokej Ligi.

Gdy mieszkałem w Petersburgu, chodziłem czasem z kumplem na mecze miejscowego Zenitu do imponującego Pałacu Lodowego. Może pamięć mnie zawodzi, ale dziewczyny z szufelkami i miotełkami wyjeżdżały tam na łyżwach bardzo często, a ponieważ Rosjanki są piękne, człowiek z utęsknieniem czekał na wszystkie przerwy. Później spieraliśmy się z kolegą, która dziewczyna z szufelką była najpiękniejsza.

Herbatka z rumem

Na deser zostawiłem sobie kolarstwo, nie tylko dlatego, że jest to mój ulubiony sport, o którym najwięcej pisałem, ale dlatego, że kwestia picia ma w nim fundamentalne znaczenie.

Pamiętam jeszcze te czasy, gdy sport nie był do szpiku kości skomercjalizowany, a naukowcy nie kierowali każdym krokiem zawodników. My, dziennikarze, podczas imprez kolarskich piliśmy dużo i nie była to woda mineralna ani oranżada. Dziś wylecielibyśmy za to z roboty w pięć minut.

Alkohol nie był całkiem obcy kolarzom. Niektórzy trenerzy uważali nawet, że piwo jest znakomitym napojem dla zawodników, którzy podczas etapu wypocili mnóstwo mikroelementów. Alkohol był też dobrym remedium na zimno, kolejnego oprócz upałów wroga kolarzy.

Ilustr. PAWEŁ FERENC

Podawano na trasie swoim zawodnikom bidony, w których znajdowała się herbata z rumem. W transmisjach radiowych z Wyścigu Pokoju (telewizyjnych jeszcze nie było) wiele razy słyszałem o Vlastimirze Ružičce, czechosłowackim kolarzu, zwycięzcy 12 etapów tej śledzonej przez wszystkich z zapartym tchem wieloetapowej imprezy. Traf chciał, że później, podczas Wyścigu Dookoła Słowacji, przydzielono mojemu mentorowi red. Lechowi Cergowskiemu z „Przeglądu Sportowego" i mnie legendarnego Ružičkę jako kierowcę wozu prasowego. Opowiadał, że niekiedy opił się tyle herbaty z rumem, iż przed wjazdem w bramę stadionu (etapowe mety mieściły się wówczas na stadionach) musiał zamykać jedno oko, bo widział ją podwójnie. Chyba ten rum nie pozostał bez wpływu na nieżyjącego już Słowaka, bo w bagażniku wiózł wielkie ilości wina, które popijał na każdym postoju. Mieliśmy z Leszkiem nadzieję, że prowadząc samochód na zakrętach, zamyka jedno oko…

Nie wiem, jak dziś, ale kiedyś alkohol nie był na liście zabronionych środków dopingowych, w każdym razie kolarze nie używają go już ani jako środka nawadniającego, ani rozgrzewającego. Piją – i to w wielkich ilościach – czystą wodę albo wodę z izotonikami, uzupełniającymi wypocone elektrolity i spalone przez mięśnie węglowodany.

Podczas jednego etapu zawodnik wypija – w zależności od pogody, długości i ukształtowania trasy – od pięciu do nawet 10 litrów płynów. Zasadą jest wypijanie pół litra napoju na każde pół godziny jazdy. Kto o tym zapomni, może przegrać; już nie raz się zdarzało, że odwodniony kolarz niemal stawał w miejscu na szosie i wściekły patrzył, jak inni mu odjeżdżają.

Mokra plama

Napoje spożywa się z bidonów, które kolarz wiezie ze sobą, a kolejne dostaje z wozu technicznego lub od masażystów stojących przy trasie. Bardzo często drużyna typuje specjalnego zawodnika, którego zadaniem jest zjeżdżanie do wozu technicznego, pobieranie większej liczby bidonów, które wkłada w kieszenie i pod koszulkę, by dowieźć do kolegów, a zwłaszcza do swojego lidera. Kiedyś nazywano ich woziwodami, jednak od jakiegoś czasu nie słyszę tego określenia, być może uznano je za obraźliwe.

Co zrobić z dużą liczbą pustych bidonów? Kiedyś, za moich czasów, plastikowe pojemniki były dość drogie, kolarze oddawali je na szosie do wozu technicznego, a nocą masażyści zamieniali się w pomywaczki, by rano bidony były znów gotowe do użycia. Teraz bidon kosztuje grosze, nikt się nie będzie bawić w mycie. Pusty bidon zawodnik wyrzuca, a jest on cenną pamiątką dla kibiców, bo zawsze malują go w reklamowe napisy. Jeszcze niedawno, w trosce o czystość środowiska naturalnego, wolno się było ich pozbywać tylko w wyznaczonych przez organizatorów strefach, razem z papierkami po batonach. Teraz, ku radości kibiców, przepisy złagodzono. Zabronione jest tylko pozbywanie się bidonów w tych miejscach, w których nie ma ludzi.

Każdy wie, że jeśli się pije, trzeba sikać. Już opisywałem tu, jak radzą sobie z tym kolarze, opowiem raz jeszcze w skrócie, bo wiele razy mnie o to pytano. Widocznie ludzi jakoś te sprawy bardzo interesują. Czasem, gdy w peletonie panuje względny spokój, kolarz zatrzymuje się w miejscu, przy którym nie ma ludzi, odpina klapkę w spodenkach i robi swoje, jak każdy zwykły śmiertelnik. Gdy zatrzymuje się lider, towarzyszą mu koledzy z drużyny, nie po to, aby go podglądać, ale ułatwić powrót do grupy.

Kolarz jadący w czołówce lub walczący w rozpędzonym peletonie nie może pozwolić sobie na takie luksusy. Musi sikać podczas jazdy i już niejeden kibic zamiast pamiątkowego bidonu zebrał przy trasie mokrą plamę na odzieży.

Jeśli zachodzi potrzeba załatwienia tzw. grubszej potrzeby, nie ma rady. Trzeba biec do rowu, spuszczać spodenki, przydatny może być liść łopianu. W każdym razie lekarz, masażyści i dietetycy ekipy dbają, żeby chronić swoich podopiecznych przed podobnymi przygodami. Istotnie, zdarzają się niezmiernie rzadko.

No proszę, miało być tylko o konieczności uzupełniania płynów w upalne dni, a doszliśmy do szczania i srania. Cóż, takie życie.

WOJCIECH MITTELSTAEDT
wojciech.mittelstaedt@interia.pl

NIE

SATYRYCZNY TYGODNIK POLITYCZNY
Jerzy Urban – honorowy redaktor naczelny
Agnieszka Wołk-Łaniewska – redaktor naczelny
Edyta Baker – sekretarz redakcji
Krzysztof Olejnik, Paweł Ferenc – grafika, DTP
Katarzyna Szajowska – korekta
Autorzy:
Przemysław Ćwikliński, Idalia Dubicka, Piotr Gadzinowski, Robert Jaruga, Tadeusz Jasiński, Marta Miecińska, Wojciech Mittelstaedt, Łukasz Piotrowicz, Marek Sanowski, Maciej Wiśniowski

Oraz profesorowie:
Tadeusz Klementewicz, Joanna Senyszyn, Andrzej Werblan

WYDAWCA: „URMA" Sp. z o.o.

ADRES redakcji i wydawcy:
00-680 Warszawa, ul. Poznańska 3 lok. 9,
tel.: 22 848 84 48, 22 848 44 20, 22 848 96 68;
tel./fax 22 849 72 47 i 22 849 72 58

DZIAŁ HANDLOWY: 22 849 59 38

INTERNET
www.tygodniknie.pl – także prenumerata internetowa
E-MAIL: NIE@redakcja.nie.com.pl

Materiałów niezamówionych (tekstów, zdjęć, dokumentów) redakcja nie zwraca.
Zastrzegamy sobie prawo skracania i adiustacji tekstów oraz listów. Tytuły i śródtytuły wszystkich zamieszczanych tekstów pochodzą od redakcji.
Za treść ogłoszeń reklamowych redakcja nie odpowiada.

DRUK:
Drukarnia Prasowa S.A., Łódź,
e-mail: sekretariat@dpsa.com.pl

Sprzedaż elektroniczna:
www.eGazety.pl, www.e-kiosk.pl, www.eprasa.pl, www.nexto.pl

Numer zamknięto:
str. 1–16 – 1.07.2026 r.

„NIE" w komórce
Papier się gniecie. Telefon nie.

eprasa.pl 471020cdc7

SŁÓWKA PÓŁGŁÓWKA

Spotyka się dwóch głuchoniemych nieznających języka migowego. Jeden pokazuje drugiemu iPhone'a. Na wyświetlaczu jest zdjęcie byłego prezydenta Dudy. Głuchoniemy numer dwa uśmiecha się z pobłażaniem. Głuchoniemy numer jeden zmienia obrazek – na Porsche.

Drugi głuchoniemy, niech ma na imię Pataszon, gestem pokazuje dużego penisa, co ma znaczyć, że samochód jest przedłużeniem dudowej męskości. Pierwszy głuchoniemy, rodzice dali mu na chrzcie Zdzisław, kręci głową, czyli ma wątpliwości do długości prezydenckiego członka. Dwoma palcami prawej ręki pokazuje właściwy rozmiar. Nieokazały.

Wybuchają niemym śmiechem.

Zdzisław wyjmuje z kieszeni swój telefon i pokazuje na ekranie fotografię prezydenta Nawrockiego. Po czym udaje, że wsadza sobie do ust palec i wymiotuje. To znaczy, że Nawrocki był ciężko chory. W odpowiedzi Pataszon puka się w głowę. Na co Zdzisław łyka niewidzialną pigułkę, przewraca się, doznaje drgawek i nieruchomieje. Oczywistym gestem Pataszon kładzie na Zdzisławie krzyżyk.

Śmieją się bezgłośnie.

Teraz pokazują sobie nawzajem wizerunki lekarzy: Zdzisław doktora Kacprzyka, który nie ma doktoratu, a Pataszon podobiznę doktora Jędrzejewskiego, który również nie ma doktoratu. Pojawia się widziane już zdjęcie Porsche'a. Powszechnie znane ruchy oznaczają liczenie banknotów, a inne – równie popularne – długość penisów. Członek Kacprzyka ma długość obywatelską, a Jędrzejowskiego – długość sygnalisty. Czyli donosicielską krótkość.

Obaj głuchoniemi drwią z obydwóch lekarzy. Opowiadają sobie gestami i obrazkami, że nie chcieliby być ich pacjentami. Bo mają wybór. Nie mają wyboru, jeśli chodzi o prezydenta. Kiedyś był nim Duda, który do dziś budzi rozbawienie. Teraz prezydentem jest Nawrocki; chciałby być zawodnikiem wagi ciężkiej, a jest lekkopółśmieszny. Podobno rok temu ktoś chciał go otruć.

Terefere – pokazuje Zdzisław dwiema dłońmi.

Pataszon rysuje sobie palcem kółko na czole.

Obaj głuchoniemi sobie gratulują. Żyją w dwudziestej największej gospodarce świata. Dostają renty, zasiłki, dotacje i subwencje. Właściwie niczego im nie brakuje. No, może tylko prezydenci przydaliby się poważniejsi, a nie tacy, którzy po roku przypominają sobie, że ktoś chciał ich zabić. Albo tacy, którzy zabiją kogoś na drodze zbyt szybkim samochodem.

PRZEMYSŁAW ĆWIKLIŃSKI

Dialogi dam, z których obie żyją

JOANNA SENYSZYN siedzi w swoim cudownie chłodnym ogrodzie w Gdyni. **AGNIESZKA WOŁK-ŁANIEWSKA** siedzi w ceglanym bloku z 1952 roku i błogosławi budowniczych Warszawy.

Senyszyn: – Mamy nowofalową siedzibę w Kielcach. Tam ponoć Kwaśniewski zaczął kampanię, która go wyniosła do prezydentury, to my też tam zaczynamy. Na otwarcie biura partii przybyli działacze z całego kraju, było świetnie. Integrowaliśmy się dwa dni i dwie noce. Żałuj, że nie byłaś.

Wołk-Łaniewska: – Nikt mnie nie zapraszał.

– Zaproszenia panienka sobie życzy? A tak z własnej inicjatywy nie łaska?

– No dobra, głupia jestem. Opowiadaj dalej.

– Zaprzyjaźniliśmy się z polskim oddziałem paneuropejskiego i proeuropejskiego stowarzyszenia Volt.

– Pierwsze słyszę. Volt – jak jednostka napięcia elektrycznego?

– Dokładnie tak. Oni mają w tej chwili sześciu europosłów z Niemiec i Holandii, ale to dopiero początek. Wspólnie będziemy tworzyć nową energię dla Unii Europejskiej.

– Przydałaby się, jak rany, bo Ursula ze swoją militarną nerwicą natręctw raczej nie jest odpowiedzią na odwieczne marzenie Europy o pokoju i dobrobycie...

– Może za długo jest na stanowisku i odczuwa wypalenie. Ma za sobą pandemię i Pfizergate, jak się nazywa zarzuty o nietransparentne negocjacje i zakup szczepionek przeciwko COVID-19. Z kolei związki zawodowe zarzucają jej odejście od prospołecznych inicjatyw na rzecz polityki nastawionej na konkurencyjność, obronność i wzrost gospodarczy.

– No i tu muszę się wtrącić. Albowiem jesteśmy tak wytresowani przez neoliberalną propagandę, że to wszystko, co wymieniłaś, automatycznie uważamy za zjawiska pozytywne. Tymczasem „konkurencyjność" to w języku eurotechnokratów – i Tuska – kryptonim, pod którym kryje się deregulacja.

– Czyli likwidacja narzucanych kapitałowi przez państwo standardów: jakościowych, zdrowotnych, pracowniczych, konsumenckich, ekologicznych.

– Z kolei „obronność" w wykonaniu Ursuli nie ma naturalnie nic wspólnego z obroną, jest aktem agresywnego militarnego amoku na żądanie Donalda Trumpa, a na koszt obywateli i państwa opiekuńczego. Zaś „wzrost gospodarczy" mierzony wskaźnikiem PKB na głowę pomija wszystko, co jest naprawdę ważne w ocenie gospodarki: dobrostan obywateli, work-life balance, skalę nierówności, koszty środowiskowe...

– Jest nawet gorzej: PKB rośnie, kiedy na przykład wzrasta liczba wypadków samochodowych, gdyż generują naprawy. Przy wypadkach śmiertelnych wprost szybuje w górę, bo stwarza się dodatkowy popyt na trumny i usługi pogrzebowe…

– Zmieniając temat: czy podzielasz powszechne oburzenie z tytułu umorzenia śledztwa w sprawie dwóch wież? Bo mnie to, wyznam ci szczerze, wisi dokładnie tak samo jak Orzeł Biały na Zełenskim…

– Na Zełenskim już nie wisi. A serio: nie mam jeszcze zdania. Czekam na uzasadnienie decyzji wydanej przez prokuratorkę Szeroczyńską, która – według donosu posła PiS, niejakiego Cieszyńskiego – „ma w swoim gabinecie, gdzie są prowadzone czynności prokuratorskie, gdzie powinna być gwarancja niezależności, wywieszone gadżety z logotypem swojego upolitycznionego Stowarzyszenia Lex Super Omnia". Z kolei poseł-adwokat Roman, w dwójcy jedyny, Giertych, który już zapowiedział apelację, stwierdził, że prokuratura jest zabetonowana przez PiS i nie ma co liczyć na jakąkolwiek refleksję u prokuratorów.

– W tej sprawie zaskoczył mnie prof. Matczak, który wypowiedział się nietypowo jak na siebie...

– Czyli?

– Mądrze. Nie znoszę typa i nie szanuję, szczególnie po jego monologu na temat leniwej młodzieży, której nie chce się pracować po 16 godzin dziennie...

– Plótł też, że „ateistyczne święta to samooszukiwanie się człowieka zagubionego w sekularnym do cna świecie, nędzna proteza prawdziwego świętowania".

– No więc właśnie. Ale tym razem ogłosił, że decyzja prokurator Szeroczyńskiej – która za PiS miała postępowanie dyscyplinarne za komentarz w „GW" – jest „świętem bezstronności". I ja się z tym absolutnie zgadzam, bo uważam, że niezależność prokuratury jest po stokroć ważniejsza od zrobienia kęsim Kaczyńskiemu. A do tego, jak słusznie wspomniałaś, Giertych się wkurwił, co mnie raduje nieopisanie, bo typa nie znoszę znacznie bardziej niż Matczaka.

– Wielu prawników nie znosisz.

– Do kilku miałam też słabość... Niestety poumierali. I na koniec – bo dziś mam taki dzień, że dobrze mówię o facetach, o których najczęściej myślę źle: oczarował mnie Timothy Snyder, którego generalnie nie poważam w związku z jego bezrefleksyjną rusofobią.

– Refleksyjnej też nie znosisz, bo jesteś rusofilna.

– To prawda. Ale uważam, że od uczonych mamy prawo oczekiwać opierania się fobiom, zwłaszcza bezrefleksyjnym. I obawiam się, że nie bez znaczenia może być fakt, iż prof. Snyder porzucił Yale, aby objąć stworzony specjalnie dla niego fotel szefa Katedry Współczesnej Historii Europy na Uniwersytecie Toronto, zafundowany mu przez kanadyjskiego magnata energetycznego ukraińskiego pochodzenia Jamesa C. Temerty'ego. Inaczej mówiąc, dostrzegam niejaki konflikt interesów pomiędzy naukową obiektywnością prof. Snydera i jego osobistym dobrostanem. Tym razem jednak mnie ucieszył. Otóż ktoś rzucił mu wyzwanie: wytłumaczyć amerykańską politykę zagraniczną w minutę albo mniej.

– I co, udało mu się?

– Moim zdaniem wyśmienicie: *„baby in a bulldozer"*.

– Czyli bachor w buldożerze.

– Tak jest. Trump to bachor, a USA – buldożer. Europejczycy mówią do bachora „gu gu ga ga", czy jak tam się mówi do bachorów, głaszczą po główce i dają lizaka, żeby bachor za wiele nie zniszczył. Rosjanie są zachwyceni i zachęcają bachora, żeby rozwalał co się da, bo bachor rozwala szybciej, niż oni byliby w stanie. I wreszcie Chińczycy: siedzą sobie z boku, patrzą spokojnie, czasem się skrzywią, ale generalnie wiedzą, że jak poczekają, bachor wcześniej czy później wjedzie buldożerem do rowu. Czyż nie jest to piękna metafora amerykańskiej potęgi?

Rys. MAURIZIO DI BONA

– Wolałabym „pożar w burdelu", „festiwal megalomanii" albo dwuznaczne „Uczta Trumpa", bo to nieuk pierwszej wody. Ale nic nie doścignie syntetycznej diagnozy sytuacji w carskiej Rosji autorstwa Nikołaja Karamzina: „Kradną".

– Kradli i kraść będą, nie tylko w carskiej i nie tylko w Rosji. Na przykład atmosfera w Warszawie zrobiła się ostatnio nieco nerwowa… À propos: zachwycił mnie prof. Adam Leszczyński. Do tego stopnia, że wreszcie się wzięłam za przeczytanie „Ludowej historii Polski".

– Po pierwsze: dopiero? I po drugie: w jaki sposób to jest à propos?

– No wiem, wstyd. Jeśli chodzi o à propos, już tłumaczę. Otóż prof. Leszczyński był w Polsacie, w programie „Najważniejsze pytania", który czasem oglądam mimo pewnej irytacji wobec prowadzących. I usiłował wytłumaczyć bardzo prorządowemu red. Szubartowiczowi – którego skądinąd znałam trzy dekady temu, kiedy jako młody lewicowy poeta publikował teksty kulturalne w „Trybunie"...

– Ludzie się zmieniają, zazwyczaj na gorsze.

– Czyli na prawo.

– A ty dopuszczasz tylko ruch w lewo.

– A jak! W każdym razie Leszczyński tłumaczył, że jego książka opisuje konflikt społeczny: elity wyzyskiwały lud, usprawiedliwiając ten wyzysk protekcjonalnym przekonaniem, że lud jest niedojrzały, nie wie, co dla niego dobre, i elita musi o niego zadbać... I że ten typ myślenia niespecjalnie się zmienił od czasów feudalnych. A Szubartowicz mu na to, że „koncept, że oto jakieś elity gardzą ludem i ten lud uciemiężony cierpi, to jest koncept ideologiczny", bo „my tu wszyscy troje w tym studiu jesteśmy elitą" – a nikt nie gardzi.

– Ludzie, którzy sami siebie obwołują elitą, wzbudzają szczególny szacunek ludu.

– Prawda? I w końcu Leszczyński, nieco już zirytowany, wyjaśnił, że istotą tej nierównoprawnej relacji, tak za feudalizmu, jak i teraz, jest konflikt o zasoby – i dostęp do ochrony zdrowia jest bardzo realnym współczesnym przejawem tego konfliktu. Ale zaraz szybko dodał, że choć nie ma nic przeciwko marksistom, to sam nie jest marksistą...

– Nikt nie jest idealny.

senyszyn@wp.pl
wolklaniewska@wp.pl

DĄBROWSKI RYSUJE

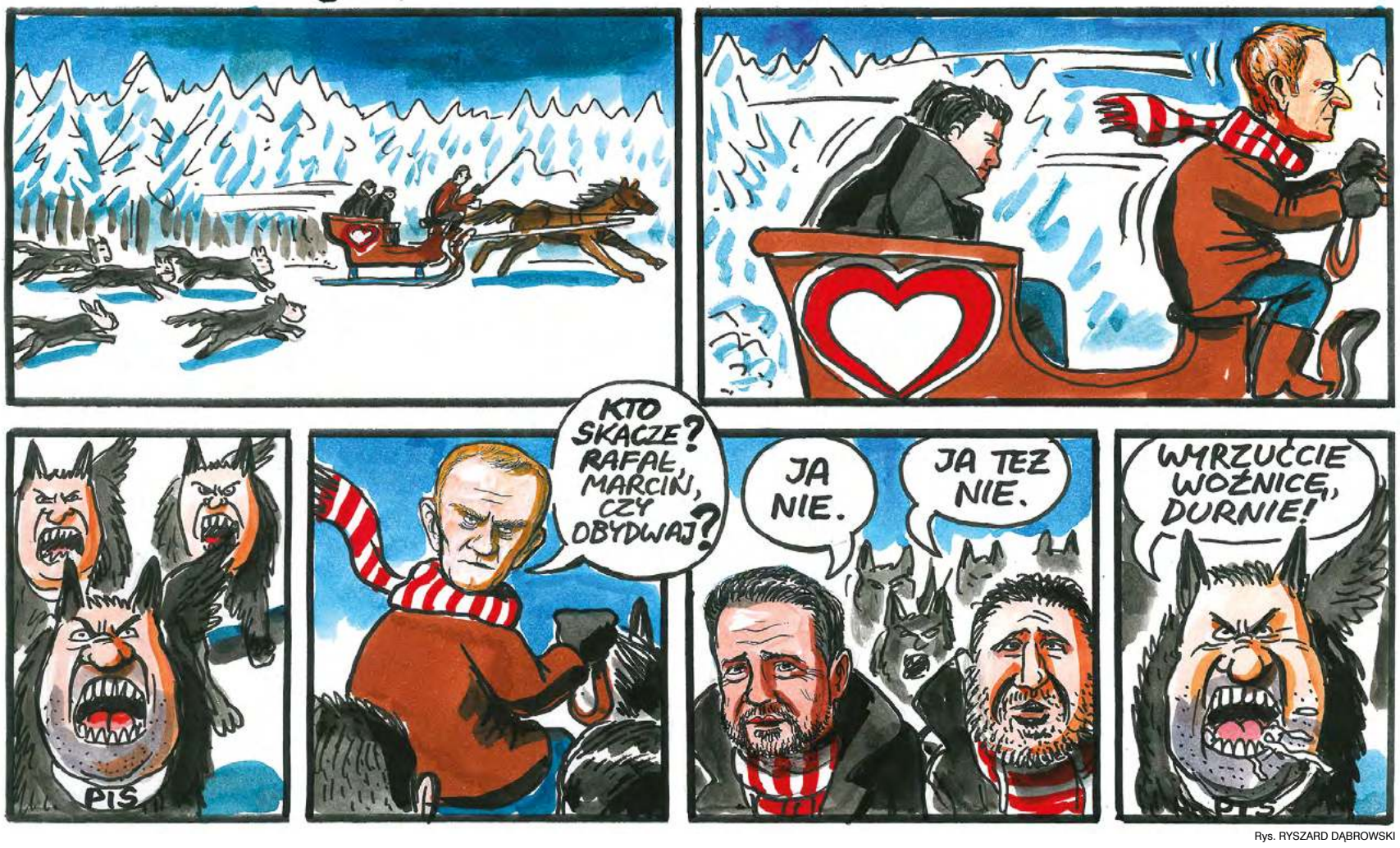

Rys. RYSZARD DĄBROWSKI

eprasa.pl 471020cdc7